



HEATHER ALLISON

**Jak się pozbyć
Abby?**

Tytuł oryginału:
Marry in Haste



ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Abigail, czy mogłabyś przyjść do mojego biura?

Wsunąwszy stopy w eleganckie pantofle, Abby Monroe posłusznie wstała i wygładziwszy starannie spódniczkę, ruszyła korytarzem w kierunku pomieszczenia zajmowanego przez asystentkę Parkera Lairda, dyrektora Laird Drilling and Exploration. Stapając po grubym, mięsistym dywanie, myślała z właściwą sobie dozą poczucia humoru, iż o randze pracownika tej, jak i innych, podobnych jej firm, świadczyła właśnie grubość chodnika, wyściełającego drogę do jego biura, a także piętro, na którym owo biuro się znajdowało. Jako że Parker Laird urzędował na ostatnim, dwudziestym szó-

stym piętrze, dywan był tak gruby, że drzwi z ledwością się po nim przesuwaly. Panowała tu również inna atmosfera niż na pozostałych piętrach. W powietrzu niemal czuć było zapach władzy, tutaj bowiem zapadały najważniejsze decyzje, dotyczące całej firmy.

Valerie Chippin, asystentka dyrektora, a od pięciu tygodni bezpośrednia przełożona Abby, gestem zaprosiła ją do środka, a zamknąwszy drzwi, skierowała się ku ustawionym pod oknem fotelom. Nieco zdziwiona Abby podążyła za nią posłusznie, był to bowiem pierwszy raz, gdy szefowa zaszczyciła ją zaproszeniem do bawialnej części swego biura. Spoglądając na zapierający dech w piersiach widok z ogromnego

okna, obiecała sobie, że kiedyś i ona będzie pracować w takim miejscu, mając całe Houston u swych stóp. Nie pozostawało jej przecież nic innego, jak wierzyć, iż przyszłość należy do niej.

- Jestem bardzo zadowolona z wyników twojej pracy
- zaczęła Valerie.

Abby uśmiechnęła się niepewnie, zaskoczona tym nieoczekiwanym komplementem. Kto jak kto, ale Valerie znana była z tego, że generalnie skąpiła swym pracownikom pochwał, toteż każda jej pozytywna uwaga była na wagę złota.

- Podobnego zdania jest także pan Laird - dodała Valerie. Akurat w tej kwestii Abby miała nieco odmienne zdanie.

Co więcej, gotowa była założyć się, że Parker Laird nie miał zielonego pojęcia o jej istnieniu. Jej biurko znajdowało się tuż przy wyjściu z windy, toteż nie dało się jej nie zauważyć, a jednak pan Laird z rzadka witał ją skinieniem głowy, ponieważ zwykle pochłonięty był czytaniem „Wall Street Journal”.

- Jak wiesz, w przyszłym tygodniu wyjeżdżam na urlop
- ciągnęła szefowa.

Sądząc, że pragnie podać jej listę zadań do wykonania podczas jej nieobecności, Abby otworzyła notes.

- Chwileczkę - powstrzymała ją Valerie. - Zdaję sobie sprawę, że to nie najlepszy moment na wakacje, zwłaszcza że Laird Drilling zamierza rozpocząć odwierty w El Bahar, ale mój mąż wykupił bilety na ten rejs już rok temu.

Z rozmarzonym uśmiechem przyglądała perfekcyjnie wykonaną fryzurę. Abby zawsze zazdrościła jej prostych blond włosów, które posłusznie poddawały się woli swej właścicielki. Ona sama nigdy nie dawała sobie rady ze swymi kasztanowymi lokami, układającymi się tylko i wyłącznie wedle własnego widzimisie, co nadawało jej absolutnie nieprofesjonalny wygląd.

- Niedługo będziemy obchodzić dwudziestą piątą rocznicę ślubu - wyznała Valerie.

- Gratuluję - odparła mechanicznie Abby, zdumiona, że szefowa wspomniała o swym mężu, choć nie miała w zwyczajcu rozmawiać z pracownikami o swym życiu prywatnym. W biurze żartowano nawet, że Valerie Chippin w ogóle nie ma życia prywatnego i Abby skłonna była zgodzić się z tym, jako że nie zdarzyło się jeszcze, aby spędziła w pracy choć kilka minut więcej niż szefowa, mimo że i tak wychodziła do domu później niż inni pracownicy. Valerie zawsze zostawała jeszcze dłużej, podobnie zresztą jak Parker Laird. Jego gabinet sąsiadował z sypialnią, łazienką oraz niewielką kuchenką, więc mógł w ten sposób spędzać w pracy dwadzieścia cztery godziny na dobę, co, nawiasem mówiąc, zdarzało mu się od czasu do czasu. Abby nie potrafiła zrozumieć, jak

ktoś, kto posiada wspaniały dom w najbardziej eleganckiej dzielnicy miasta, może chcieć zostawać na noc w biurze.

- Pan Laird wspaniałomyślnie namawiał mnie, bym skorzystała z okazji i wybrała się w tę podróż - powiedziała z naciskiem Valerie, jak gdyby zależało jej na tym, aby Abby zrozumiała, iż nie zaniedbuje ona swych obowiązków z byle powodu. - Nie będzie mnie przez miesiąc.

- Miesiąc? - powtórzyła Abby zdumionym głosem.

- Tak - potwierdziła szefowa.

- Zrobię wszystko, by pomóc... - urwała, nie wiedziała bowiem, kto zastąpi Valerie podczas jej nieobecności.

- Właśnie o tym chciałam z tobą porozmawiać, Abigail... - W głosie szefowej pobrzmiwało wahanie. - zaproponowałam panu Lairdowi, że ty mnie zastąpisz przez ten miesiąc.

- Ja? - Abby nie wierzyła własnym uszom.

Od razu też zbeształa się w myślach za tak nieprofesjonalne zachowanie. Powinna była zareagować spokojnie, tak by utwierdzić Valerie w przekonaniu, iż jej wybór był słuszny.

- Zaskoczyłam cię, prawda? - Uśmiechnęła się.

- Bardzo się cieszę, że będę miała szansę... - zaczęła Abby, próbując zapanować nad swymi emocjami.

- Ale zastanawiasz się, czemu zawdzięczasz takie wyróżnienie? - podsunęła Valerie.

Abby nie odpowiedziała, wiedziała bowiem, iż Valerie nie da się nabrać na żadne gładkie słówka.

- Wprawdzie Barbara i Nancy pracują dla mnie dłużej niż ty, ale Barbara ma dwoje dzieci, zaś narzeczony Nancy nie jest tak wyrozumiały jak mój Gordon - wyjaśniła szefowa.

- Nie jesteś z nikim związana, prawda?

W milczeniu potrząsnęła głową.

- I nie masz żadnych obowiązków związanych z rodziną?

- Nie.

- Doskonale - ucieszyła się Valerie. - Pan Laird potrzebuje kogoś, kto byłby dyspozycyjny przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Czasem mam wrażenie, że Laird Drilling prowadzi interesy w każdej strefie czasowej - westchnęła.

- W każdym razie osoba, która mnie zastąpi, powinna umieć się dostosować...

- Nie mam z tym problemów - wtrąciła Abby, która gotowa była dać się pokrajać za możliwość pracy na stanowisku asystentki dyrektora.

- Nie może też bać się ciężkiej pracy - ciągnęła Valerie.

- Musi również umieć szybko podejmować trudne decyzje. A... jeszcze dobrze byłoby, gdyby potrafiła czytać w myślach.

Abby uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

- Został jeszcze tydzień do mojego wyjazdu, mamy więc wystarczająco dużo czasu, żebyś mogła się zapoznać ze zwyczajami i wymaganiami pana Lairda. - Valerie podniosła się.

- Spotkamy się z nim po jego powrocie z lunchu z przedstawicielami Rady Miejskiej. - Ruszyła w kierunku biurka, za nią zaś podążyła oszołomiona Abby. - To jest spis najważniejszych kontrahentów Laird Drilling. Powinnaś się zapoznać z ich nazwiskami i zdjęciami, żeby wiedzieć, z kim pan Laird najczęściej współpracuje.

To powiedziawszy, wręczyła jej grubą książkę, którą Abby przeglądała już kilka razy podczas przerw obiadowych, chcąc podnieść swe kwalifikacje, co, jak widać, przyniosło pożądane skutki wcześniej, niż się mogła tego spodziewać.

- Dziękuję, Valerie - odpowiedziała wreszcie. - Jestem

ci wdzięczna za okazane mi zaufanie. Postaram się go nie zawieść.

- Liczę na to, Abigail. Do zobaczenia o wpół do drugiej. W tym momencie gabinet minął wysoki, ubrany w ciemny garnitur mężczyzna.

- Zaczekaj jeszcze chwilę - poprosiła Valerie. - Zaraz będziesz miała pierwszą lekcję, co znaczy być dyspozycyjną.

Dosłownie kilka sekund później na jej biurku zabrzączał interkom.

- Valerie? Mogę się teraz z tobą zobaczyć.

- Już idę, panie Laird - odparła posłusznie. - Widzisz?

- zwróciła się do Abby. - Wrócił trzy kwadranse wcześniej niż zapowiedział i oczekuje, że już jestem gotowa na spotkanie umówione dopiero za czterdzieści pięć minut.

Abby skinęła głową, po czym zapisała coś w swym notatniku, chcąc sprawdzić, czy jest jeszcze w stanie zapanować jakoś nad drżeniem rąk. Nie mogła przecież dać po sobie poznać, jak bardzo się denerwuje, bo w przeciwnym razie Parker Laird nigdy nie zgodziłby się, by zastępowała jego asystentkę.

Valerie ruchem ręki przywołała ją do siebie, po czym przez salę konferencyjną udały się do dyrektorskiego gabinetu.

- Oczywiście gości pana Lairda będziesz wprowadzać drugimi drzwiami - zastrzegła Valerie.

- Naturalnie - mruknęła Abby, która akurat tego się domyśliła.

Gdy znalazły się w biurze Parkera Lairda, Abby na moment wstrzymała oddech. Jej zmysły działały tak ostro, iż słyszała cichy szelest drzwi, przesuwających się po grubym

dywanie. Dyrektor stał za biurkiem, odwrócony twarzą do okna i mówił coś do niewielkiego dyktafonu. Popatrzył w ich stronę, nawet na moment nie przerywając wykonywanej czynności. Abby nie miała pojęcia, co ma ze sobą zrobić, toteż niewiele myśląc, spojrzała prosto w jego szare oczy, które przypatrywały się jej intensywnie. Fakt, że potrafił obserwować ją z taką uwagą, jednocześnie skupiając się na tym, co mówi, stanowił wyjaśnienie, jakim cudem udawało mu się samodzielnie prowadzić tak ogromną firmę jak Laird Drilling.

Był wyjątkowo młody jak na zajmowaną przez siebie pozycję, nie można mu było też odmówić urody. Co z tego jednak, skoro był już zajęty? Jak głośno krązące po biurowcu plotki, Parker Laird był żonaty, a jego małżonką była firma. Niektórzy nawet twierdzili, że gdyby się skaleczył, krwawiłby najczystsza ropą naftową. Z własnej obserwacji Abby wiedziała, iż był on najszybciej chodzącym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek знаła. Często miała okazję przypatrywać się, jak wychodził z windy i swymi ogromnymi krokami przemierzał korytarz, za nim zaś biegli truchtem zasapani panowie w garniturach, którzy mimo wyraźnego zmęczenia próbowali z nim jeszcze rozmawiać. Tylko w towarzystwie Valerie pan Laird zwalniał trochę kroku, nie na tyle jednak, aby nie musiała od czasu do czasu przyspieszać, chcąc za nim nadążyć.

Valerie skierowała się ku dwóm fotelom, ustawionym po drugiej stronie biurka Parkera Lairda i skinieniem dłoni zachęciła Abby, żeby usiadła obok, po czym otworzyła ogromny notes na stronach zawierających kalendarz. Przygotowała również dyktafon, identyczny jak ten, którego używał dyrek-

tor, i usadowiwszy się wygodniej, czekała na polecenia swego szefa.

Tymczasem Abby starała się trochę uspokoić i przyzwyczaić do myśli, iż oto znalazła się w miejscu, w którym pracował sam Parker Laird, w jego sanktuarium. Dyrektor wciąż stał odwrócony tyłem do nich, mogła więc podziwiać jego szerokie ramiona, ukryte pod idealnie skrojonym garniturem. Zresztą wszystko, czym się otaczał, było doskonałej jakości, tworząc perfekcyjny wizerunek. Tak, Parker Laird był człowiekiem, który nie zadowalał się byle czym. Dlatego Abby przyjęła pełną profesjonalizmu postawę, gotowa w każdej chwili udawać doskonałość.

Mijały minuty, a w miarę upływu czasu w Abby wzrastało zniecierpliwienie. Miała jeszcze kilka ważnych zadań do wykonania przed wyjazdem Valerie, a poza tym nadeszła już jej pora lunchu. Tymczasem Parker Laird nie przestawał wydawać coraz to nowych poleceń, zachowując się tak, jak gdyby oprócz niego nie było nikogo w gabinecie. Doprawdy, czy nie mógł zawołać ich później, skoro był aż tak zajęty? Abby zrobiła zniecierpliwioną minę i przewróciła oczyma. Sekundę później ujrzała w tafli okna odbicie twarzy dyrektora. Ich spojrzenia się spotkały. Poczula, jak robi jej się słabo. Nie miała pojęcia, że jest obserwowana... Postanowiła solennie, że od tej pory, idąc do jego gabinetu, będzie zabierała ze sobą jakieś pilne zadanie do wykonania, a jeśli nie znajdzie nic takiego, będzie udawała, że jest pochłonięta pracą.

Parker Laird odwrócił się, po czym odłożył dyktafon na biurko.

- Przepraszam, że kazałem paniom czekać - odezwał się.

Aha, jednak spostrzegł moją minę, pomyślała z przestraczem Abby.

- Panie Laird, jak się umawialiśmy, podczas mojej nieobecności zastąpi mnie właśnie Abigail Monroe - zaczęła Valerie.

- Dziękuję, że zechciałaś nam pomóc, Abigail. - Dyrektor wyciągnął ku niej rękę.

- Proszę mówić do mnie Abby - poprosiła pod wpływem nagłej ulgi, że najwyraźniej ów przejaw zniecierpliwienia tym razem nie zostanie jej wzięty za złe.

Zauważyła przy tym, jak ciepły, a jednocześnie stanowczy był uścisk jego dłoni. W dodatku gestowi temu towarzyszył krótki, ale serdeczny uśmiech, co wprawiło ją w tym większe zdumienie, iż jeszcze nigdy nie widziała Parkera Lairda uśmiechniętego.

- Jak sobie radzisz w szkole, Abby? - zapytał ni z tego, ni z owego, siadając za biurkiem.

Abby zauważyła, że Valerie poruszyła się gwałtownie w swym fotelu. Najwyraźniej nie miała pojęcia, że jej podwładna uczy się, by podnieść swe kwalifikacje. Tym dziwniejszym był fakt, iż wiedział o tym Parker Laird.

- Dziękuję, dobrze - wybąkała zmieszana. - W tym tygodniu czeka mnie ostatni egzamin, a potem mam przerwę w zajęciach - dodała, chcąc upewnić dyrektora, iż nic nie będzie jej przeszkadzało w wypełnianiu nowych obowiązków.

- O ile wiem, Abby korzysta z naszego programu dofinansowywania szkoleń i studiów zaocznych - zwrócił się do swej asystentki Parker, widząc, iż nie wie ona, o czym mówią.

- Rzeczywiście, zapomniałam - mruknęła tamta.

- A co studiujesz? - dopytywał się Parker Laird, podając Valerie taśmę, wyjętą przed chwilą z dyktafonu.

- Zarządzanie i marketing - wyjaśniła.

Dyrektor kiwnął głową.

- Jaki mamy rozkład zajęć na dzisiejsze popołudnie? - zwrócił się do Valerie, najwyraźniej uznawszy, że dość już pogaduszek.

Asystentka natychmiast włączyła dyktafon, a następnie zaczęła odczytywać po kolei punkty przygotowanego wcześniej planu, które dyrektor albo potwierdzał, albo zmieniał. Porozumiewali się sobie jedynie znanymi skrótami, tak że

Abby miała problemy ze zrozumieniem. Zdołała zauważyć, że czas pracy pana Lairda podzielony był na piętnastominutowe bloki, aż do godziny dziesiątej wieczorem, przy czym nierzadko zdarzało się, iż w ciągu jednego kwadransu zaplanowano kilka czynności Rozmawiając przez telefon, ćwiczył na rowerze treningowym, spotykał się z klientami podczas obiadu, dyktował polecenia, jadąc do pracy. Abby zastanawiała się, czy on w ogóle kiedykolwiek odpoczywa. Nie zdziwiłaby się, gdyby się okazało, iż przez sen słucha taśm instruujących, jak poprawić swoją wydajność i mądrzej gospodarować czasem.

Przy nim czuła się jak pospolity leń, choć pracowała w pełnym wymiarze godzin, jednocześnie studiując.

- Abby, kiedy masz zajęcia w szkole? - Niespodziewane pytanie wyrwało ją z zamyślenia.

- We wtorki i czwartki między dziewiętnastą a dwudziestą drugą - odpowiedziała automatycznie.

Ku jej zdumieniu, Valerie umieściła to w kalendarzu pana Lairda.

- A kiedy jest ten egzamin, o którym wspomniałaś?
 - W ten czwartek.
 - W takim razie zarezerwuj też środowy wieczór, Valerie
- poinstruował dyrektor. - Abby powinna mieć czas na zrobienie powtórki.

Nie mogła uwierzyć własnym uszom, że ktoś na jego stanowisku może być tak troskliwy w stosunku do swych podwładnych. Najwyraźniej jedna z jego zasad brzmiała: myśl o wielkich rzeczach, lecz nie zapominaj o małych.

Wszystko wskazywało na to, iż czekał ją wyjątkowo interesujący i pełen ciekawych wrażeń miesiąc...

Przez kolejne dziesięć minut przysłuchiwała się nie do końca zrozumiałej rozmowie, zastanawiając się, czy kiedykolwiek nauczy się pracować w takim tempie.

- To byłoby na tyle - oznajmił wreszcie dyrektor, spoglądając na zegarek. - Niech Abby skoryguje rozkład zajęć, a potem możecie pracować we dwie do końca dnia.

To powiedziawszy, spojrzał wymownie na Valerie.

- Możesz zacząć pracę nad nowym planem dnia - asystentka zwróciła się do Abby, podając jej notatnik oraz kasetę.

Abby podniosła się. Wiedziała, że gdy wyjdzie, ci dwoje będą rozmawiać o niej.

- Czy mam też odsłuchać taśmę i sporządzić notatki?
Otrzymawszy twierdzącą odpowiedź, opuściła gabinet.

- Jest jeszcze bardzo młoda - zauważył Parker Laird, gdy zamknęły się za nią drzwi. - Ciekawy wybór. - Popatrzył prosto w oczy kobiecie, która pracowała jeszcze jako asystentka jego ojca.

- Abigail Monroe to inteligentna i pracowita osoba - odparła zdecydowanie Valerie.

- Wiem, przeglądałem ocenę jej pracy. Ale dla ciebie pracuje od niespełna sześciu tygodni, prawda?

- To prawda - przyznała niechętnie. - Jednak jestem przekonana, że jest bardziej dyspozycyjna i pracowita niż Barbara i Nancy.

- Rzeczywiście, dyspozycyjność to niesłychanie istotna cecha. - Parker uśmiechnął się nieznacznie.

Wiedział doskonale, o co tak naprawdę chodziło Valerie, gdy zaproponowała, by jej obowiązki przejęła tak niedoświadczona osoba jak Abby. Gdyby nie pewne okoliczności, nigdy by się na to nie zgodził, ale tym razem nie miał wyjścia.

Atutem, jaki posiadała Abby Monroe, była piegowata buzia oraz prostolinijność, typowa dla dziewcząt, które niedawno przywędrowały z prowincji. Prawdopodobieństwo, iż cechy te przyciągną do niej uwagę jego brata, Jaya, równało się praktycznie zeru.

- Czy mam ją wtajemniczyć w bardziej prywatne aspekty inwestycji w El Bahar? - zapytała Valerie, jak gdyby czytała w jego myślach.

- Wystarczy, żebyś podkreśliła, jak ważną sprawą jest, aby nie przeszkadzano Jayowi w przygotowaniach do wyjazdu. - Uśmiechnął się ponuro. - A ja się już postaram, żeby miał całe mnóstwo rzeczy do załatwienia aż do chwili startu samolotu.

- Och, panie Laird! - westchnęła, załamując ręce. - Nie powinnam zostawiać pana samego w takiej chwili.

- Nie masz innego wyjścia - zauważył, wyjmując z szufla-

dy kopertę, w której znajdowały się dwa bilety lotnicze pierwszej klasy oraz poświadczenie rezerwacji eleganckiego apartamentu. - Przez te wszystkie lata, gdy dla mnie pracowałeś, Gordon ani razu nie narzekał z powodu zmarnowanych wakacji czy też nie wykorzystanych biletów do teatru. Przypuszczam jednak, że gdybyś teraz chciała odwołać ten wyjazd, nie wybaczyłby tego nam obojgu do końca życia. - Podał jej kopertę. - Wszystkiego najlepszego z okazji srebrnego wesela.

- Ależ, panie Laird! - wykrzyknęła zdumiona. – Nie wiem, co powiedzieć...

- Nic. Wystarczy, żebyś się dobrze bawiła. - Uśmiechnął się ciepło.

Przez całą drogę powrotną do swego biurka Abby próbowała opanować drżenie kolan, w obawie, że jeszcze moment, a przewróci się na środku korytarza. Będę asystentką Parkera Lairda, będę asystentką Parkera Lairda, powtarzała w duchu. Dotarłszy wreszcie do swego stanowiska, opadła z westchnieniem na krzesło.

„Dzień dobry, tu Abigail Monroe, pełniąca obowiązki asystentki pana Lairda podczas nieobecności pani Chippin. Pan Laird będzie podejmował pięcioro gości w czwartek o godzinie dwudziestej trzydzieści...”

„Mówi Abby Monroe, asystentka pana Parkera Lairda. Proszę zarezerwować apartament prezydencki...”

„Tu Abby Monroe... Tak, asystentka pana Lairda.

Ileż to razy ćwiczyła przed lustrem te kwestie? Przecież praca na stanowisku asystentki dyrektora Laird Drilling and Exploration była jej celem i marzeniem od chwili, gdy prze-

kroczyła próg siedziby tej firmy. Wcześniej nie miała pojęcia, co się wiąże z taką pozycją, dopiero z rozmów, słyszanych w biurze, wywnioskowała, że to idealne stanowisko dla niej. Ekscytujące podróże, poznawanie sławnych ludzi, praca wymagająca zaangażowania i kreatywności - to wszystko stanowiło chleb powszedni dla Valerie Chippin. Jeździła limuzyną, brała udział w uroczystych kolacjach, podczas których podawano wyszukane dania, nosiła markowe ubrania, podróżowała w egzotyczne miejsca... Jednym słowem, robiła wszystko, o czym śniła Abby, dorastając w Haste, niewielkim miasteczku w Teksasie. Gdy awansowała i zaczęła pracować pod kierownictwem Valerie, pomyślała, że los się wreszcie do niej uśmiechnął, teraz zaś miała wrażenie, iż dobra wróżka postanowiła podarować jej najpiękniejszy prezent, jaki w życiu otrzymała.

Zerknęła w kierunku gabinetu, w którym urzędowały Barbara i Nancy. Był pusty, pewnie obydwie poszły na lunch. Ciekawe, czy Valerie poinformowała je już o tym, kto ją zastąpi?

Pewnie nie, bo w przeciwnym razie bez wątplenia dałyby jej do zrozumienia, co o tym sądzą. Nie miała żadnych scysji z nimi, ale one pracowały razem już od dobrych kilku lat, Abby zaś była tu nowa, przez co otrzymywała rutynowe zadania, na tyle nieciekawe, iż nikt inny nie chciał się nimi zająć. Przerwy na lunch były tak rozplanowane, aby zawsze ktoś był obecny w biurze i mógł odbierać ewentualne telefony, jednak Barbara i Nancy zawsze wychodziły razem, przez co Abby nieodmiennie zjadała posiłek w samotności. Nie buntowała się, po prostu zaakceptowała fakt, że zajmuje najniższe stanowisko. Tak jednak było jeszcze przed kilkoma

minutami, teraz wszystko się zmieniło.

Zerknęła na zegarek. Nie miała czasu na lunch, co się nawet dobrze składało, bo nie była pewna, czy zdołałaby cokolwiek przełknąć. Niezwłocznie wzięła się do pracy, tak że gdy Barbara i Nancy wróciły dziesięć po pierwszej, zakończyła już nanoszenie poprawek w rozkładzie dnia i była w trakcie sporządzania notatek z taśmy. Nie uszło jej uwagi, że spóźniły się dziesięć minut, mimo że z biura wyszły o pięć minut za wcześnie. Przypuszczalnie sądziły, że nikt tego nie zauważy, Abby jednak była przekonana, iż Valerie mimo wszystko widzi takie rzeczy. Co więcej, szefowa zapewne dostrzegła, że ona sama nigdy się nie spóźnia i rzadko kiedy wykorzystuje pełną godzinę, jaka jej się należy.

Usłyszawszy, iż Valerie wzywa Nancy oraz Barbarę do swego gabinetu, Abby chwyciła torebkę i szybko wymknęła się na klatkę schodową. Nie miała ochoty być świadkiem pierwszej reakcji koleżanek na wieść o decyzji przełożonej.

Zeszła na dół, gdzie ustawione były automaty z napojami. Wiedziała wprawdzie, że powinna coś zjeść, tak by móc jasno myśleć podczas tego popołudnia, ale na samą myśl o jedzeniu robiło jej się niedobrze. Zdołała jednak wmusić w siebie kubek soku pomarańczowego. W znajdującym się nieopodal barze nie było nikogo, więc przysiadła tam na moment, aby zebrać rozproszone myśli. Oto niespodziewanie nadarzyła jej się szansa, o jakiej nawet nie śmiała marzyć. Choć miała pełnić obowiązki asystentki dyrektora tylko przez miesiąc, to przecież będzie mogła zamieścić w swym życiorysie wzmiankę, że swego czasu pełniła obowiązki asystentki Parkera Lairda, dyrektora Laird Drilling and Exploration. Będzie mogła szczycić się doświadczeniem w pracy na tym

stanowisku.

Wziąwszy kilka głębszych oddechów, wstała, by po drodze do swego biura wstąpić do toalety i poprawić makijaż. Nie zdążyła nawet otworzyć drzwi, gdy usłyszała podniesione głosy.

- Wiem, co powiedziała i ciągle nie mogę tego zrozumieć - mówiła zirytowana Nancy. - Powinna wybrać którąś z nas, a nie Abby!

Słyszając to, Abby zamarła w pół kroku.

- Ależ to wszystko ma, wbrew pozorom, sens - tłumaczyła Barbara spokojnie.

- Rzeczywiście - prychnęła Nancy. - Ty pracujesz jako sekretarka Valerie prawie sześć lat, ja ponad trzy, a Abby niespełna dwa miesiące. Faktycznie, bardzo to sensowne!

- Nie ma się o co tak denerwować.

- Może ty chciałabyś spędzić resztę życia na stanowisku sekretarki wspaniałej, utalentowanej i nie wiadomo jeszcze jakiej pani asystentki dyrektora, ale ja chciałabym pewnego dnia zostać taką właśnie asystentką.

- W takim razie posłuchaj mnie uważnie. Ile razy Valerie wyjeżdżała na wakacje? - zapytała Barbara.

- Ona nigdy nie wyjeżdża na wakacje.

- Właśnie. A teraz nie będzie jej przez calutki miesiąc.

Przez ten czas Parker Laird przekona się, jak bardzo jest mu potrzebna, ponieważ nie ma takiej możliwości, żeby wszystko poszło gładko, gdy Abby będzie ją zastępować.

- Właśnie dlatego powinna była wybrać jedną z nas - zauważyła Nancy.

- Właśnie dlatego nie wybrała żadnej z nas - odparła z naciskiem Barbara.

Przez dłuższą chwilę panowała cisza. Abby próbowała zrozumieć, co Barbara miała na myśli, ale bez powodzenia.

- Nie rozumiem - wyznała wreszcie Nancy.

- To proste. Valerie nie chce stracić swojej prestiżowej pozycji, więc postarała się, by Parker uznał ją za niezastąpioną. Gdyby wybrała którąś z nas, doszedłby zapewne do wniosku, że jesteśmy równie dobre, jak ona, ale Abby doprowadzi do takiego zamętu, że będzie szczęśliwy, gdy Valerie wreszcie powróci z wakacji.

- Jaka ona sprytna - westchnęła z podziwem Nancy. - Muszę to zapamiętać.

Ja też, pomyślała Abby, po czym cicho wróciła na swe stanowisko pracy. A więc spodziewano się, że nie podoła spoczywającym na niej obowiązkom. W takim razie zafunduje wszystkim niespodziankę i udowodni im, że potrafi być dobrą asystentką. Przede wszystkim będzie musiała przekonać co do tego Parkera Lairda.

ROZDZIAŁ DRUGI

W następny poniedziałek Abby zjawiała się na dwudziestym szóstym piętrze punktualnie o siódmej rano, niosąc w torbie kartki z zanotowanymi instrukcjami, które Valerie przekazywała jej przez telefon, dzwoniąc z lotniska w Houston, a potem z Aten. Abby nie bardzo rozumiała, dlaczego szefowa uparła się, by budzić ją w środku nocy, ale posłusznie zapisała podyktowane jej rady. Na wszelki wypadek zadzwoniła jeszcze do firmy, obsługującej rejsy statkiem, którym miała płynąć Valerie, aby upewnić się, czy jej przełożona faktycznie wyruszyła już na wyprawę swego życia. Uzytkawszy odpowiedź twierdzącą, odetchnęła z ulgą, choć nie

mogła wykluczyć możliwości, iż Valerie zdoła jakoś namówić kapitana, by pozwolił jej zatelefonować w niesłychanie ważnej sprawie.

Znalazszy się w biurze, Abby automatycznie powędrowała w kierunku swego stanowiska i dopiero po upływie kilku minut przypomniała sobie, że przez najbliższy miesiąc ma prawo używać gabinetu Valerie. Dlatego też wstała i zabrawszy tabliczkę ze swym nazwiskiem, kalendarz oraz szklany przycisk na biurko, udała się tam, myśląc jednocześnie o tym, kiedy powinna przedyskutować z panem Lairdem rozkład czekającego ich dnia.

Zanim wzięła się do pracy, spędziła kilka chwil, spoglądając przez okno na panoramę Houston. Pomarańczowe pro-

mienie słońca oświetlały zatłoczone ulice i równie zakorkowaną obwodnicę. Abby westchnęła z podziwem. Nikt z rodziny nie podzielał jej zachwyty wielkimi miastami. Dla nich takie miejsca oznaczały jedynie nieustanny pośpiech, hałas, przedzieranie się przez tłumy ludzi oraz wdychanie zanieczyszczonego powietrza. Tymczasem Abby kochała w miastach to, że coś się w nich działo, że właśnie tam podejmowane były ważne decyzje.

Teraz zaś czuła się częścią Houston, czuła, iż coś od niej zależy, że wykonuje ważną pracę. Na myśl o tym, jej serce zabiło mocniej. Ogarnęła ją niepewność, czy zdoła unieść ciężar obowiązków, jakie na nią nałożono. Wprawdzie przez cały ostatni tydzień chodziła krok w krok za Valerie, notując wydawane przez nią instrukcje, zapamiętując porady, wciąż jednak miała wrażenie, że szefowa zachowuje wiele rzeczy dla siebie. Czuła się przez to nie przygotowana, wiedziała, że

przynajmniej raz dziennie zdarzy się sytuacja, z którą nie będzie umiała sobie poradzić. Postanowiła, że będzie spisywać swe spostrzeżenia, tak by zaoszczędzić nerwów komuś, kto w przyszłości, podobnie jak ona, będzie zastępował asystentkę dyrektora.

Najpierw jednak musiała nanieść poprawki w rozkładzie dnia pana Lairda, co zajęło jej dobrych kilka minut. Gdy już się z tym uporała, odkryła, że pod stosem kartek papieru, które przyniosła tego ranka, leży kasetka. Kasetka, którą położył tu Parker Laird. Niezwłocznie wsunęła ją do magnetofonu, po czym założyła słuchawki.

- Dzień dobry, Abby - usłyszała głęboki głos dyrektora.
- Umieść, proszę, następujące poprawki w planie dnia i przynieś mi go jak najszybciej.

Nie było najmniejszych wątpliwości co do tego, że nagrał tę taśmę tego ranka, jeszcze przed jej przyjściem. Czy ten człowiek nigdy nie śpi, pomyślała z rozpaczą.

Chcąc, nie chcąc, wzięła się za nanoszenie poprawek. Chociaż pan Laird wyraźnie się starał, by maksymalnie, ułatwić jej pracę, powtarzając niektóre instrukcje i wyjaśniając pewne procedury, to i tak po godzinie pracy tak bolała ją głowa, iż nie miała pojęcia, jak przetrwa do wieczora. Postanowiła więc zlecić wydrukowanie planu dnia Barbarze lub Nancy, dochodząc do wniosku, że przecież asystentka dyrektora ma do pomocy sekretarkę, więc nie wszystko musi koniecznie wykonywać sama. Okazało się jednak, że o godzinie ósmej dziesiątej ich gabinet był wciąż pusty.

Na biurku Abby zabrzmiał interkom.

- Abby? - dobiegł ją głos dyrektora.
- Tak, panie Laird?
- Nie przesłałaś mi wiadomości, że już jesteś, więc sądziłem, że jeszcze nie przyszłaś.

Przecież na taśmie nie było mowy o żadnym zostawianiu wiadomości.

- Jestem tu już od godziny - odparła.
- Szkoda, że nie wiedziałem. Czekałem na ciebie.

W jego głosie nie było przygany, ale i tak Abby zarumieniła się po same uszy.

- Już idę.

Wykonawszy kilka relaksujących oddechów, udała się do gabinetu szefa. Idąc, martwiła się, kto odbierze ewentualne telefony i jak wytłumaczy panu Lairdowi, dlaczego nie przyniosła mu wydrukowanego rozkładu dnia. Niewiele myśląc,

skreśliła krótką notatkę i przyczepiła ją na samym środku monitora, przy którym pracowała Barbara.

Szczerze mówiąc, nie tak wyobrażała sobie początek pierwszego dnia na nowym stanowisku. Gdy weszła do gabinetu dyrektora, z trudem mogła złapać oddech, tak że nie zwróciła nawet uwagi na zapierający dech w piersiach widok z okna ani też na gruby, miękki dywan, które jeszcze niedawno wprawiły ją w taki zachwyty. Zwróciła natomiast uwagę na stojącego po przeciwnej stronie pomieszczenia Parkera Lairda, który intensywnie wpatrywał się w rozłożone na długim stole mapy. Nie podnosząc ani na moment wzroku, lekkim ruchem ręki zaprosił ją do środka. Nie wiedząc, czy powinna

do niego podejść, czy też może usiąść na swym stałym miejscu przy biurku, Abby stanęła niepewnie na środku gabinetu.

- Czy zapomniałaś mnie powiadomić o swoim przyjeździe?

- zapytał dyrektor, przysuwając bliżej umocowaną na ruchomym ramieniu lampę.

- Nie zostawił mi pan na taśmie żadnych instrukcji na ten temat.

Przez dłuższą chwilę nic nie odpowiadała, nie zaszczycił jej nawet jednym spojrzeniem. Wreszcie wyprostował się, popukał palcem w mapę i podszedł do biurka.

- Proszę, żebyś od tej pory zawsze nagrywała na moją taśmę wiadomość, że już jesteś.

- Dobrze, panie Laird.

Zanotowała to w pamięci, tak by pod żadnym pozorem nie popełnić po raz drugi tego błędu. Dziwne, że Valerie nie wspomniała jej ani słowem o tym zwyczaju. Miała nadzieję, iż było to tylko zwykłe przeoczenie, choć nie miała co do tego pewności.

- Czy masz już gotowy poprawiony rozkład dnia? - zapytał dyrektor, siadając w fotelu naprzeciwko niej.

- Właśnie go kończyłam, gdy pan zadzwonił - wyjaśniła.

- Barbara ma go wydrukować.

Parker Laird spojrział na zegarek, po czym ponownie podniósł wzrok na nią.

- A kiedy będę mógł go otrzymać?

Abby odchrząknęła, chcąc zyskać na czasie. Nie wiedziała bowiem, czy zadenuncjować Barbarę oraz Nancy, zrażając je do siebie dokumentnie, czy też wziąć winę na siebie.

- W najbliższym czasie, panie Laird - zaryzykowała, patrząc mu prosto w oczy.

Na chwilę w gabinecie zapanowała cisza. Z wyrazu twarzy dyrektora Abby wywnioskowała, iż nie udało jej się go nabrać.

- Czy chciałby pan wprowadzić jeszcze jakieś zmiany, zanim wydrukuję ostateczną wersję? - zapytała, chcąc się jakoś zrehabilitować.

- Nie ma czegoś takiego jak ostateczna wersja - sprostował. - Istnieją tylko mniej lub bardziej aktualne.

- A więc, czy chciałby pan wprowadzić jeszcze jakieś zmiany, zanim wydrukuję najbardziej aktualną wersję planu dnia? - poprawiła się.

Dyrektor zamrugał gwałtownie oczyma. Wyglądał tak, jak gdyby walczył z przemożną chęcią roześmiania się na cały głos.

- Kawy? - zapytał wreszcie.

- Nie, dziękuję - odmówiła grzecznie.

Wciąż patrzył na nią z tym samym wyrazem twarzy.

- Ojej! - wykrzyknęła Abby, zrywając się na równe nogi.

- Kawa!

„Nie, dziękuję”, powtórzyła w myślach, wściekła, że zrobiła z siebie taką idiotkę,

- Ja... ja zaraz... - wyjąkała.

- Parzenie kawy nie należy do twoich obowiązków służbowych - uspokoił ją dyrektor. - Ale jeśli zdarzy się, że będziesz akurat piła herbatę lub kawę, gdy poproszę, abyś do mnie przyszła, nie krępuj się i przynosź ze sobą filiżankę.

- Dobrze, panie Laird - odparła cicho.

Wprawdzie uwielbiała herbatę, ale nigdy w życiu nie czułaby się na tyle swobodnie w jego towarzystwie, aby przy nim pić.

- Jeśli masz właśnie ochotę na filiżankę kawy, możesz sobie zrobić i przynieść tu, gdy wrócisz z planem.

Zrozumiała tę delikatną sugestię, toteż skinąwszy głową, wyszła z gabinetu.

Kompletna ze mnie idiotka, myślała z wściekłością. Fakt, że wciąż nie było ani Barbary, ani Nancy, zirykował ją jeszcze bardziej. Zasiadła przed komputerem i szybko naniosiła zanotowane wcześniej poprawki, świadoma nieubłaganego upływu minut. Ciągle miała w pamięci, że zgodnie z rozkładem dnia pan Laird powinien teraz odbywać rozmowę telefoniczną z Ianem Douglassem z Aberdeen, a nie czekać, aż ona przygotuje coś, co powinno znaleźć się na jego biurku przynajmniej przed godziną.

Zaklinała właśnie drukarkę, by się pospieszyła, gdy do biura weszła Barbara, niosąc kawę w plastikowym kubku.

- Aleśmy dzisiaj niecierpliwie - zauważyła zgryźliwie.
- Gdzieś ty była? - rzuciła Abby oschłym tonem.
- Valerie powiedziała, żebyśmy przyszły dzisiaj o wpół do dziewiątej - poinformowała Barbara. - Uważała, że to powinno dać ci trochę czasu na zorganizowanie się.
- Proszę, żebyście od tej pory przychodziły na ósmą.
- Wyszarpnęła z drukarki gotową stronę. - Nawet wcześniej, jeśli to możliwe.
- Spróbuję, ale to zależy od korków na ulicach. Poza tym w szkole nie zgadzają się, żeby rodzice przywozili dzieci przed wpół do ósmej.
- Ja byłam tu już o siódmej - oświadczyła, patrząc Bar-

barze prosto w oczy. - Czekala już na mnie pełna taśma poleceń do wykonania w najbliższym czasie.

Barbara najwyraźniej rozumiała, co Abby chciała przez to powiedzieć, gdyż zaprzestała dyskusji.

- Co mogę zrobić? - zapytała, odkładając torebkę.

- Idę właśnie do gabinetu pana Lairda. Ma spotkanie o dziesiątej i chciałby przedtem zapoznać się z materiałami, które wypunktowałam ci na kartce.

- W porządku, zajmę się tym - odparła Barbara.

Zadowolona, że udało jej się zyskać choć odrobinę posłuchu u niechętej jej koleżanki, pobiegła z powrotem do dyrektorskiego gabinetu. Weszła cicho i widząc, że pan Laird rozmawia przez telefon, dyskretnie zajęła swe miejsce przy biurku. Dopiero wtedy przypomniała sobie o postanowieniu, jakie podjęła przed tygodniem, że będzie zawsze przynosić sobie coś do zrobienia, na wypadek, gdyby dyrektor był zajęty czymś innym. Aby nie siedzieć beczynnie, zaczęła przydzielać wyznaczone na ten dzień zadania Barbarze i Nancy, jednak po trzech minutach nie miała już co robić, więc nadal pilnie udawała, że jest pochłonięta pracą. Wszystko, byle nie spojrzeć w szybę. Przez skórę czuła, iż Parker

Laird przygląda jej się, ale szybko wytłumaczyła sobie, że prawdopodobnie patrzy niewidzącym wzrokiem, zaś jego myśli skupione są na rozmowie z Ianem Douglasssem.

Wiedząc, że dyrektor ma w zwyczaju sporządzać notatki tuż po zakończeniu rozmowy telefonicznej, nie odzywała się

przez jakiś czas po tym, jak odłożył słuchawkę na widełki.

- Proszę, oto rozkład dnia, panie Laird - powiedziała, gdy skończył pisanie.

- Mów mi Parker - poprosił, biorąc od niej gęsto zadrukowaną kartkę papieru.

Parker? Nie była pewna, czy przejdzie jej to przez gardło.

- Dobrze... panie Laird - wybąkała wreszcie.

- Parker - przypomniał.

- No, tak... panie Parker.

Zamrugął oczyma, wyraźnie rozbawiony.

- Kiedy mówisz do mnie po imieniu, nie musisz dodawać słowa „pan”. Czy aż tak bardzo krępuje cię mówienie do mnie Parker?

Rzeczywiście, czuła się niesłychanie niezręcznie, ale nie miała najmniejszego zamiaru przyznawać się do tego.

- Valerie zawsze mówi „panie Laird”, więc jestem do tego przyzwyczajona - odrzekła tonem wyjaśnienia.

- Owszem, ale ona zwraca się tak do mnie, odkąd skończyłem trzynaście lat. Do dziś nie zdołałem jej tego wyper-swadować.

- Postaram się... - wydusiła Abby po chwili milczenia.

- Świetnie. Co do tego spotkania o dziesiątej - zręcznie zmienił temat - to jest ono nieoficjalne i nie sędzę, żeby trwało dłużej niż godzinę. Z tym, że będzie na nim obecny mój brat, a on jest zupełnie nieprzewidywalny i możliwe, że

dzięki niemu zebranie się przeciągnie aż do pory lunchu.

Chciałbym, abyś w razie czego była gotowa zamówić kanapki. Valerie zwykle dzwoni do pobliskiego baru. Mają taki ze-

staw kanapek, który już nieraz zamawialiśmy i wszystkim odpowiadał.

Abby wiedziała, o którym barze mowa, gdyż już raz dzwoniła tam z zamówieniem.

- Dobrze, proszę pana... To znaczy, Parker – dodała zmieszana.

Co się ze mną dzieje, pytała samą siebie. Przecież poprosił mnie, bym zwracała się do niego po imieniu właśnie po to, bym czuła się w jego towarzystwie swobodnie, a ja zachowuję się jak pensjonarka.

W efekcie przez najbliższe dziesięć minut, zwracając się do niego, używała jedynie form bezosobowych.

- Zaraz wrócę z dokumentami na spotkanie - powiedziała wreszcie i pospieszyła do swego gabinetu. Na szczęście Barbara zdążyła już wszystko przygotować i położyć na jej biurku. W dodatku zjawiała się wreszcie Nancy, tak więc Abby mogła powierzyć im obydwu kolejne zadania. Nareszcie miała wolną chwilę, toteż usiadła, by zregenerować siły. Jej spokój nie trwał jednak długo, ponieważ po upływie kilku minut biurowy posłaniec przyniósł do jej gabinetu dwa ogromne pudła najświeższej korespondencji, raportów, podań i notatek. Zadaniem asystentki dyrektora było posegregowanie tego wszystkiego oraz podjęcie decyzji, który z dokumentów zasługiwał na szczególne zainteresowanie pana Lairda, a który mógł być rozpatrzony przez kogoś niższego rangą.

Właśnie sięgała po dużą szarą kopertę, leżącą na samym wierzchu, gdy zadzwonił telefon. Abby zacisnęła na moment powieki, po czym podniosła słuchawkę.

- Peter Frostwood na pierwszej linii - poinformowała Nancy, na którą najwyraźniej tego dnia wypadło sprawowa-

nie obowiązków recepcjonistki.

Peter Frostwood był dyrektorem przedstawicielstwa Laird Drilling na całą Amerykę Północną.

- Tu Abigail Monroe - przedstawiła się.

- Chciałem rozmawiać z Valerie - powiedział tamten po chwili ciszy.

- Zastępuję panią Chippin na czas jej nieobecności - przypomniała Abby.

Wszyscy dyrektorzy oddziałów zostali o tym poinformowani na piśmie, ona sama pisała te zawiadomienia.

- Proszę powiedzieć Parkerowi, że muszę z nim natychmiast rozmawiać.

Tu właśnie zaczynał się problem, ponieważ zadaniem Abby było podjęcie decyzji, czy powinna przerwać Parkerowi przygotowania do spotkania, czy może zawiadomić go o tym telefonem później. Nie mogła wymagać od osoby na tak wysokim stanowisku, jakie zajmował Peter Frostwood, aby tłumaczył się przed nią, o co tak naprawdę mu chodzi, z drugiej jednak strony przerywanie Parkerowi co pięć minut nie miało najmniejszego sensu.

- Pan Laird jest w trakcie przygotowań do zebrania, a potem ma do końca dnia zaplanowane spotkania. Mogę pana z nim połączyć, jeśli chciałby pan ustalić termin ewentualnej rozmowy.

- Tak będzie najlepiej, dziękuję.

Nacisnęła przycisk interkomu, stwierdziwszy, że jeśli Parker nie zechce z nikim rozmawiać, na pewno jej to powie.

- Peter Frostwood chce z tobą rozmawiać.

- Połącz go - poprosił.

Czyli tym razem podjęła słuszną decyzję. Z ciężkim westchnieniem przeniosła spojrzenie na pudła pełne dokumentów. Przez cały poprzedni tydzień pomagała Valerie sortować papiery, toteż wiedziała, że po południu przyniosą jej kolejne dwa pudła. Zgodnie z zaleceniami Valerie dzieliła dokumenty na trzy kupki: te, które wymagały konkretnego działania, podpisu oraz dodatkowych informacji. Pomiędzy tymi papierami zdarzały się raporty produkcyjne oraz rozliczenia finansowe, którymi do niedawna zajmowała się ona sama, dlatego z tym większą radością przydzieliła je teraz Nancy.

Jak na złość telefon dzwonił raz po raz, więc nie nadążała z pracą, a że czas biegł nieubłaganie, musiała wreszcie chwilowo porzucić segregowanie dokumentów i zająć się przygotowaniem sali konferencyjnej. Jednym z jej zadań było zaparzenie kawy, co wydawało się o tyle trudne, że sama Abby nie przepadała za tym napojem i siłą rzeczy niewiele wiedziała o jego przyrządzaniu. Na szczęście miała okazję przyjrzeć się, jak to robiła Valerie, która uprzedziła ją, iż pan Parker nie zadowala się pospolitymi gatunkami kawy, ale osobiście zamawia specjalne mieszanki. Te zaś powinny być mielone w odpowiedni sposób i przez określoną ilość czasu.

Ziarenko kawy to ziarenko kawy, żadna filozofia, pomyślała Abby i zmełszy przygotowaną porcję, wsypała ją do metalowego filtra, po czym zalała wodą z kranu. Pozostawało jej tylko trzymać kciuki, żeby wszystko dobrze poszło. Następnie zajęła się ustawieniem na niskim stoliku wszystkich utensyliów, niezbędnych podczas podawania kawy. Oczywiście Parker nie uznawał czegoś takiego jak porcjowana śmietanka w proszku, czy też plastikowe kubeczki. Na

stoliku powinny się znaleźć dzbanuszki z mlekiem odtłuszczonym i zwykłym oraz śmietanką, obok nich zaś cukier biały i brązowy, a także dwa rodzaje słodzików. Kawa miała być podana w masywnych granatowych kubkach, ozdobionych znakiem firmy Laird Drilling and Exploration.

Gdy Abby zdążyła wreszcie zaparzyć dzbanek kawy bezkofeinowej, zostało już tylko dziesięć minut do rozpoczęcia zebrania Zarumieniona z przejęcia, schyliła się, by poszukać w kredensie białych serwetek, również ozdobionych znakiem firmy.

- Witaj, Valerie - usłyszała za sobą nieznamy głos. - Jak tam, kochanie, zdecydowałaś się wreszcie odejść od męża i wyjechać ze mną na koniec świata?

Niebotycznie zdumiona, odwróciła się gwałtownie. Za nią, oparty o drzwi do sali konferencyjnej, stał ktoś, kto wyglądał jak młodsza wersja Parkera. Był to Jay Laird, słynna czarna owca rodu, współwłaściciel firmy, który pokazywał się w niej tak rzadko, iż Abby widziała go tylko raz i to w przelocie. Teraz miała okazję przyjrzeć mu się uważniej. Faktycznie, był przystojny, jak to głosiła krążąca po biurze plotka- Podobnie jak Parker, miał piękne szare oczy oraz czarne włosy, jednakże rysy jego twarzy były dużo łagodniejsze niż u jego starszego brata.

- Nie jesteś Valerie - zauważył.

Abby pokręciła przecząco głową.

- Ale i tak wyjedź ze mną - zaproponował, podchodząc bliżej. W jego oczach widoczny był błysk zainteresowania.

- Nie mogę - odparła, zamykając drzwiczki kredensu. - Jeszcze nie skończyłam przygotowywać stołu konferencyjne-

go.

- Są krzesła, jest kawa, chyba nic już więcej nie potrzeba - zauważył, rozglądając się dokoła.

- A woda?

- Aha - mruknął, wsuwając dłonie do kieszeni jasnych spodni. - A jeśli przyniosę wodę, wyjedziesz ze mną? - zapytał, przekrzywiając zawadiacko głowę.

- Panie Laird, przecież pan też ma być na tym spotkaniu. - Uśmiechnęła się mimo woli.

- Mów mi Jay - poprosił. - Więc wiesz, kim jestem?

- Oczywiście, chyba każdy to wie.

- Niestety, ja nie znam każdego.

W ten sposób Jay pozbawił ją nikłej nadziei, że jednak jakimś cudem dostrzeże ją choć raz w ciągu tych czterech lat jej pracy w Laird Drilling.

- Nazywam się Abby Monroe - przedstawiła się. - Zastępuję Valerie, która jest na wakacjach.

- Na wakacjach? - powtórzył Jay zbolalym głosem. - A więc wyjechała beze mnie? Jestem zdruzgotany.

Abby roześmiała się wesoło, po raz pierwszy tego dnia poczuła się rozluźniona i swobodna.

- A więc padło na ciebie? - Ujął ją pod rękę. - Opowiedz o tym wujkowi Jayowi.

- O czym? - Uśmiechnęła się, delikatnie odsuwając się od niego, by móc napełnić wodą stojące w kredensie dzbanki.

- O tym, jak zamęczasz się dla mojego brata. Powiedz, masz chociaż jakieś życie prywatne?

- To dopiero pierwszy dzień - wyjaśniła.

- Uciekaj! - zawołał, chwytając ją za ramiona. - Szybko! Póki jeszcze możesz.

Ze śmiechem wręczyła mu napełniony dzbanek.

- Nie boję się ciężkiej pracy.
- Cóż, mój brat i ja różnimy się, co do kwestii, ile czasu

należy poświęcać pracy - oznajmił Jay, niosąc dzbanek do sali konferencyjnej. - Widzisz, ja pracuję, żeby żyć, natomiast Parker żyje, żeby pracować.

Abby doszła do wniosku, że lepiej tego nie komentować, chociaż musiała przyznać, że Jay regularnie pojawiał się w kronice towarzyskiej gazety porannej, zaś Parker na stronach poświęconych gospodarce.

Postawiwszy na stoliku termosy z kawą, cofnęła się o krok, by móc krytycznie przyjrzeć się swemu dziełu.

- Wygląda tak, jakbyś robiła to przynajmniej po raz setny: Nawet Valerie nie poradziłyby sobie lepiej - pochwalił Jay.

Było to dokładnie to, co pragnęła usłyszeć, więc odwdzięczyła mu się promiennym uśmiechem.

- Szukałem cię, Jay.

Gdy Abby usłyszała głos Parkera, uśmiech natychmiast zniknął z jej twarzy. W jego oczach czaił się gniewny wyraz, toteż zastanawiała się, czy powinna była zawiadomić go o przybyciu brata.

- No, to mnie znalazłeś - odrzekł Jay.

- Jak widzę, jesteś zajęty przeszkadzaniem mojej asystentce. - W głosie Parkera dała się słyszeć nuta irytacji.

Dziwnie powolnym krokiem zbliżył się do owalnego stołu konferencyjnego, by położyć na nim stos dokumentów.

- Raczej pomagam jej w przygotowywaniu zebrania.

- O ile widzę, wszystko jest już gotowe - zauważył Parker. Chociaż pozornie bracia rozmawiali ze sobą spokojnie,

Abby wyczuła panujące między nimi napięcie. Pomyślała, że lepiej będzie, jak zostawi ich samych.

- Potrzebuje pan jeszcze czegoś, panie Laird? - zapytała.

- Czy mogłabyś przynieść mi mapę, która leży na biurku w moim gabinecie?

Szybkim krokiem udała się do przyległego pomieszczenia, zastanawiając się, czy Parker jest zły na nią, czy raczej na Jaya. Zwinawszy mapę, wróciła z nią do sali konferencyjnej. Parker pokazywał właśnie jeden z dokumentów bratu, ten zaś przysłuchiwał się z pełnym rezygnacji wyrazem twarzy.

- Wolałbym sam dobrać sobie pracowników - powiedział w chwili, gdy Abby dyskretnie kładła mapę na stole.

- Jedziesz w przyszłym tygodniu, a nie masz jeszcze ani załogi, ani żadnego doświadczenia - zauważył cierpko Parker. - Zresztą Ian Douglass to doskonały fachowiec i pracuje przy odwiertach już od dwudziestu trzech lat.

- Rozważę jego kandydaturę - obiecał Jay. - Dziękuję za radę.

- To nie była rada. Dziś rano go zatrudniłem.

- W takim razie po południu go zwolnisz.

Abby wstrzymała oddech, zastanawiając się usilnie, jak by tu się niepostrzeżenie wymknąć.

- Abby, wprowadź gości, gdy się już zjawia, dobrze? - poprosił Parker.

- Oczywiście, panie Laird - wybąkała.

Jak to dobrze, że nie zauważył, że Jay do mnie mrugnął,

pomyślała, odwracając się na pięcie.

ROZDZIAŁ TRZECI

Zgodnie z poleceniem, Abby witała nadchodzących gości i wprowadzała ich do sali konferencyjnej, tam zaś przyjmowali ich bracia Laird. Po raz kolejny mogła się przekonać, jak bardzo się różnią. Jay flirtował z paniami, zaś panów poklepywał po plecach. Jego śmiech był wyjątkowo zaraźliwy, tymczasem na twarzy Parkera ani na chwilę nie pojawił się nikły nawet uśmiech. W jego towarzystwie czuła się spięta i zdenerwowana, ponieważ zdawała sobie sprawę, że przy nim nie może pozwolić sobie na żaden błąd.

- Proszę, panie Danvers. - Podała kubek kawy mężczyźnie, który zamiast krawata, miał na szyi czarny ozdobny sznurek, jaki zwykli nosić kowboje, tyle że w jego przypadku zapinka ozdobiona była sporym diamentem w kształcie stanu

Teksas.

- Dziękuję ci, kochanie - odparł tamten tubalnym głosem. - Jak ci idzie w szkole?

- W zeszły czwartek zdawałam ostatni egzamin.

- Znasz już wyniki?

Abby pokręciła przecząco głową.

- Jak się już czegoś dowiesz, to masz mi się natychmiast pochwalić, słyszysz?

Abby uśmiechnęła się lekko. Diamentowy Don Danvers był nietuzinkową postacią, której nie dało się nie lubić. Miała do niego słabość przede wszystkim z tego względu, iż gdy pierwszy raz zobaczył ją przy wyjściu z windy, zatrzymał się i przedstawił. Zupełnie nie obchodziło go, że jest tylko sekretarką ani też, że Parker wraz z resztą towarzystwa byli już w połowie korytarza. Z zainteresowaniem wypytywał ją, kim jest i co robi, a od tego czasu regularnie interesował się wynikami jej egzaminów.

- Czy możemy już zacząć? - zapytał wreszcie Parker. Abby zinterpretowała to jako sygnał do wyjścia, więc skierowała się ku drzwiom. Nie musiała robić notatek, gdyż Parker nagrywał zebranie na taśmę, mogła więc zająć się pilnymi pracami biurowymi.

- Na litość boską, Parker! - zawołał Diamentowy Don, gdy towarzystwo siadało właśnie za stołem konferencyjnym.

- Coś ty zrobił z tą kawą, synu?

Abby zamarła w pół kroku.

Don pociągnął jeszcze jeden łyk napoju, po czym skrzywił się z obrzydzeniem. W tym momencie Abby dostrzegła, iż wszyscy obecni mieli pełne kubki.

- Moim zdaniem jest w porządku - zauważył Jay i aby to

udowodnić, wypił duży łyk kawy. Nie dało się jednak nie zauważyć, że przelękając, mrugał intensywnie oczyma, nie uszło zaś uwagi Abby, że starannie unikał przy tym jej wzroku.

Jej serce biło jak szalone, gdy powoli przeniosła spojrzenie na Parkera, który wpatrywał się w swój kubek, poruszając nim tak, by wymieszała się jego zawartość.

- To pewnie ten nowy gatunek, który postanowiłem wypróbować - oznajmił po chwili. - Nazywa się Indonezyjski Zielony Wulkan. Pomyślałem sobie, że można by zainwestować w farmę, na której jest uprawiany.

- Zielony Wulkan, powiadasz? - Diamentowy Don pokręcił głową. - Rzeczywiście, smakuje jak popiół wulkaniczny. Na twoim miejscu, synu, dałbym sobie spokój z tą inwestycją - poradził, odstawiając kubek na bok.

Pozostali zebrani poparli go nieśmiało.

- Abby, zapisz, żebyśmy więcej nie zamawiali tego gatunku - zadysponował Parker. - Aha, i poproś Barbarę i Nancy, żeby przygotowały nam jeszcze trochę kawy.

Skinąwszy głową, Abby udała się do swego gabinetu, gdzie owionął ją zapach perfum Valerie, skutecznie przypominając jej o tym, iż zajmuje go tylko tymczasowo. Ale nie zawsze tak będzie, obiecała sobie. Kiedyś zostaną najprawdziwszą asystentką dyrektora, to jedynie kwestia czasu.

Podeszła do biurka, by zanotować polecenie Parkera dotyczące kawy, po czym dopisała jeszcze, żeby spryskać gabinet sosnowym dezodorantem do wnętrza.

Przez następne półtorej godziny telefon nie zadzwonił ani razu, dzięki czemu mogła spokojnie zająć się sortowaniem

dostarczonych wcześniej dokumentów. Zabierała się właśnie za drugie pudło, gdy zabrzączał interkom.

- Słucham, panie Laird?

- Abby, wygląda na to, że posiedzimy tu do lunchu.

Głos Parkera brzmiał równie spokojnie, co zwykle, choć przedłużające się zebranie całkowicie rujnowało jego plan dnia.

- Zaraz zamówię kanapki - odparła.

Sięgając po słuchawkę telefoniczną, rozejrzała się za notesem Valerie: Ku swemu ogromnemu zdziwieniu, odkryła, iż nie ma go w jego stałym miejscu na biurku. Z rosącym niepokojem popatrzyła na parapet, potem zerknęła za kom-

puter, a następnie przeszukała regały oraz wszystkie szuflady biurka. Ani śladu.

- Czy któraś z was ma może notes Valerie? - zapytała, stając w drzwiach gabinetu Barbary i Nancy.

Obydwie podniosły na nią wzrok znad biurka i pokręciły przecząco głowami.

- Nigdzie go nie ma - oznajmiła, na wszelki wypadek rozglądając się po pomieszczeniu.

- Jak to, nie ma? - zapytała Barbara. - To przecież niemożliwe.

- Nie mogę go nigdzie znaleźć, a mam zamówić kanapki.

- Nancy, ty masz chyba numer do tego baru, prawda?

- Barbara podniosła się i wyszła zza biurka.

- Mogę tam zadzwonić, ale co zamówić?

Wszystkie trzy spojrzały na siebie z przerażeniem. Notatnik Valerie zawierał szczegółowe informacje, dotyczące

osób, które współpracowały z Laird Drilling.

- A kto jest na tym spotkaniu? - zapytała przytomnie Barbara.

- Diamentowy Don...

Abby próbowała sobie przypomnieć nazwiska wszystkich obecnych, ale ogarnęła ją taka panika, że nie potrafiła jasno myśleć.

- W takim razie wiemy już, że kilka kanapek ma być z wołowiną - skomentowała Nancy.

- Czekaście, zdaje się, że to ta sama grupa, która spotkała się tydzień temu - przypomniała sobie Barbara. - W takim razie zamówmy ten sam zestaw, co w zeszły poniedziałek.

Abby odetchnęła z ulgą.

- Dziękuję wam - powiedziała z wdzięcznością.

Dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak bardzo obawiała się, iż Nancy oraz Barbara nie zechcą z nią współpracować. Gdyby nie ich pomoc, zmuszona byłaby przeszkodzić Parkerowi w prowadzeniu zebrania tylko po to, aby dowiedzieć się, kto ma ochotę na jaką kanapkę.

Wróciła do swego gabinetu, za nią zaś podążyła Barbara, która miała nadzieję, że może jednak uda jej się odnaleźć notatnik.

- I jak, znalazłyście? - zapytała Nancy, stając w drzwiach.

- Nie, i nie sądzę, żeby to było w ogóle możliwe - odparła Abby, czując, jak robi jej się słabo.

- Uważasz, że Valerie zabrała go ze sobą? - zapytała Barbara.

- A ty nie?

- Ale czemu miałyby to robić? - broniła szefową Nancy.
- Przecież wie, że potrzebujemy tych notatek, żeby... Och...
- urwała, po czym obydwie z Barbarą wymieniły wymowne spojrzenia.

Abby wiedziała, że nagle przypomniały sobie rozmowę sprzed tygodnia, tę, w której przewidywały, iż Abby nie da sobie rady na stanowisku asystentki. Zabierając ze sobą notes, którego zawartość tworzona była przez lata, Valerie postarała się, żeby jej stanowisko czekało na nią, gdy powróci z miesięcznej podróży. Lista ulubionych hoteli oraz restauracji Parkera, specjalne instrukcje, nawet tak z pozoru nieistotne szczegóły, jak informacje, kto jaką kawę pije oraz jak się nazywają żony i dzieci współpracowników - wszystko zniknęło, stwarzając zagrożenie, że prędzej czy później zdarzy się jakaś wpadka.

- O ile się nie mylę, te notatki nie zostały wprowadzone

do komputera - stwierdziła Abby, choć w głębi serca miała nadzieję, iż jest inaczej.

Obydwie kobiety pokręciły przecząco głowami.

Myśl, nakazała samej sobie Abby, myśl, bo inaczej przepadniesz. Miała ochotę nakrzyczeć na kogoś, najlepiej na Valerie, wiedziała jednak, że awantura jest chyba najgorszym z możliwych rozwiązań.

- W takim razie będziemy musiały jakoś odtworzyć te notatki - zdecydowała.

- Chyba żartujesz. - W głosie Nancy słyszeć było niedowierzanie.

- Problem w tym, że brak informacji, które były w tym no-

tesie, stawia w złym świetle nas wszystkie, włącznie z samą Valerie - zauważyła Abby pozornie obojętnym głosem.

- Jak to? - zdumiała się Nancy.

Barbara milczała, co oznaczało prawdopodobnie, że analizuje tok jej myślenia.

- Ja pracuję na tym stanowisku od sześciu tygodni, a wy ?
- kontynuowała Abby.

- Od trzech lat - odparła Nancy, ostentacyjnie unosząc brodę. - I co z tego?

- Wiem, że ty pracujesz tu jeszcze dłużej - Abby zwróciła się do Barbary, która złożyła ręce na piersiach. - Siłą rzeczy więc pan Laird oczekuje, że znacie więcej ode mnie szczegółów, związanych z pracą w tym dziale. Jeśli tak nie jest, oznaczałoby to, że... - zawiesiła głos.

- .. że jesteśmy albo tępe, albo leniwe - dokończyła Nancy,

z oburzeniem kręcąc głową. - Dobrze, ale w jaki sposób może to postawić w złym świetle samą Valerie?

- Ponieważ to ona nas zatrudniła - wyjaśniła milcząca do tej pory Barbara.

- Owszem, a także dlatego, że ona nami kieruje - dodała Abby. - Na zajęciach z zarządzania mówiono nam, że należy ustalić pewne procedury na wypadek nieobecności kierownika, tak aby wszystko działało bez zarzutu. Czy wiecie, że nie mamy żadnego podręcznika, który zawierałby instrukcje, jak należy w takiej sytuacji prowadzić biuro?

- A po co nam podręcznik? Zasada jest jedna, mamy robić to, co nam każą, najszybciej, jak się da - zażartowała

Nancy.

- W każdym razie postanowiłam, że zacznę spisywać swoje uwagi i spostrzeżenia, tak aby któraś z was mogła przejąć moje obowiązki, gdy z jakiegoś powodu będę nieobecna - oznajmiła Abby.

- Mam trochę swoich notatek - wyznała Nancy, uśmiechając się serdecznie, po raz pierwszy chyba, odkąd Valerie przekazała im wiadomość, kto będzie ją zastępował przez najbliższy miesiąc. - Zwykle wykonywanie telefonów należy do moich obowiązków - dodała tonem wyjaśnienia.

- Świetnie - pochwaliła Abby.

- Ja też wiem co nieco - włączyła się Barbara. - Też zacznę robić notatki. - Ruszyła w kierunku wyjścia, ale po chwili zatrzymała się i spojrzała na Abby. - Nie lubię sprawiać wrażenia niekompetentnej.

- Szczerze mówiąc to, co zrobiła Valerie, nie było ładne - zauważyła Nancy.

- Może zabrała notes przez przypadek - podsunęła Abby, ale obie koleżanki posłały jej takie spojrzenia, że nie mogła się nie roześmiać. - A może i nie... - dodała.

Barbara i Nancy zawtórowały jej wesóło.

- Słuchajcie, zapomniałam was zapytać, jakie kanapki lubi pan Laird - zauważyła Abby, uspokoivszy się nieco.

- Dziwaczne - odparła Barbara. - Lubi być zaskakiwany, dlatego właściciel baru eksperymentuje na nim.

Parker Laird lubi być zaskakiwany? Abby nie była pewna, czy chodzi tu o tego samego człowieka, który planuje swój dzień, dzieląc go na piętnastominutowe bloki.

Gdy została sama, zamknęła oczy i wykonała kilka relaksujących wdechów i wydechów. Dzięki Bogu, udało jej się zdobyć poparcie Barbary i Nancy. Zachowała się wyjątkowo profesjonalnie, jej profesor od zarządzania byłby z niej dumny. Teraz pozostawało tylko usatysfakcjonować swą pracą Parkera Lairda...

Dzięki Jayowi zebranie przedłużyło się o trzy kwadranse. Jeśli mój brat ma zamiar wrócić za rok z El Bahar, powinien nauczyć się, jak organizować sobie pracę i trzymać się ustalonego rozkładu dnia, pomyślał z niechęcią Parker. Kto to widział, żeby przez dwadzieścia minut od zakończenia dyskusji zabawiać się towarzyskimi pogaduszkami? Chyba dziesięć minut przed zebraniem powinno wystarczyć. Było to mało efektywne wykorzystywanie czasu, jakże charakterystyczne dla ogólnej postawy życiowej Jaya.

- Chyba nie muszę koniecznie iść na ten lunch Klubu Miłośników Muzyki Kameralnej... - jęknął Jay, postukując w stół złocisto-czarnym zaproszeniem. - W ilu jeszcze takich stowarzyszeniach działasz?

- Działamy - poprawił go z naciskiem Parker. - W dziesiątkach, za co możesz być wdzięczny mamie.

- W takim razie niech ona idzie.
- Ona też tam będzie.
- No, to idź ty - nie ustępował Jay.
- Nie mogę. Będę na imprezie dobroczynnej Towarzystwa Przyjaciół Zwierząt - wyjaśnił Parker.
- Skoro jesteś taki mądry, to powiedz mi, czy mam

w ogóle jakiś wolny wieczór w tym tygodniu? - westchnął z rezygnacją Jay.

Oczywiście kochany braciszek nie uznał za stosowne używać oprawionego w skórę kalendarza, który podarował mu jakiś czas temu. Typowe. Nie pozostawało Parkerowi nic innego, jak zajrzeć do własnego notesu, gdzie zapisywał terminy rautów oraz kolacji, na które zapraszano Jaya.

- W czwartek czeka cię pożegnalna kolacja w Towarzystwie Miłośników Arii Operowych.

- Uff, mogło być gorzej, mogło mnie zaprosić Stowarzyszenie Miłośników Całych Oper - zażartował Jay.

- Jeśli chodzi o ścisłość, Towarzystwo Operowe zaprosiło cię na piątek. W planie jest spektakl na twoją cześć.

- O, radości! - jęknął Jay, kładąc głowę na stole konferencyjnym.

- Ale to, co masz zaplanowane na dzisiejszy wieczór, powinno ci się naprawdę spodobać. Idziesz na kolację i dancing do Towarzystwa Jazzowego przy Uniwersytecie Houston.

Parker początkowo planował pójść tam sam, wiedząc, że dancing stwarzał niebezpieczeństwo kontaktu z kobietami, co nigdy nie wychodziło Jayowi na dobre. Jego brat zwykł zakochiwać się szybko, często i za każdym razem na zabój. W dodatku skłonny był wtedy do ekstrawaganckich, a jed-

nocześnie niesłychanie kosztownych gestów. Dlatego Parker postanowił, że do chwili wyjazdu do El Bahar będzie strzegł Jaya jak oka w głowie, stąd ta irytacja, którą poczuł tego przedpołudnia, gdy zobaczył, iż jego brat flirtuje z Abby. Na

szczęście Jay miał się następnego dnia przeprowadzić do mieszkania ich matki, tak by zwolnić swój apartament przed przybyciem jego nowych mieszkańców, więc istniało małe prawdopodobieństwo, że będzie mógł umawiać się na randki. Ta myśl uspokoiła Parkera do tego stopnia, że z uśmiechem przycisnął guziczek interkomu.

- Abby, zostało trochę kanapek, więc jeśli jeszcze nie jadłyście, możesz po nie przyjść.

- Abby? - Jay uniósł brwi.

- Moja asystentka pod nieobecność Valerie - wyjaśnił Parker, uważnie obserwując reakcję brata. - Ta, którą spotkałeś dziś rano.

- Ach, ta... - Jay uśmiechnął się lekko. - Miła dziewczyna. Tylko chyba okropnie młoda.

- Byłem niewiele od niej starszy, gdy zacząłem prowadzić tę firmę - zauważył Parker.

- Co ty, braciszku, przecież ty nigdy nie byłeś młody - odparował Jay, podnosząc się.

W tym momencie w drzwiach gabinetu stanęła Abby, spoglądając niepewnie na Parkera, którego to trochę zirykowało. Zdenerwował się jednak jeszcze bardziej, gdy spostrzegł, że uśmiechnęła się ciepło do jego brata. Nigdy nie mógł zrozumieć, co kobiety widzą w tym lekkoduchu, który wymigiwał się w sposób niesłychanie czarujący od wszystkich spoczywających na nim obowiązków. Oczy ich matki nabierały czułego wyrazu ilekroć do pokoju wkraczał Jay i choć Parker

wiedział, że kocha ich obydwo, zdawał sobie sprawę, że Jaya wręcz uwielbia. Owszem, przyznawał, że brat umie radzić

sobie z ludźmi, jednak nie sposób było nie zauważyć, iż w całym swym dwudziestosześcioletnim życiu nie dokończył jeszcze ani jednej sprawy, którą zaczął. Dlatego Parker miał nadzieję, że zadanie, jakie Jay miał wykonać w El Bahar, nauczy go, co to znaczy być dorosłym. Być może po powrocie do kraju jego brat będzie na tyle odpowiedzialny, by móc przejąć część jego obowiązków w firmie.

- Świetnie się spisałaś z tym zebraniem, Abby - pochwalił Jay. - A kanapki... - Pocałował opuszki swych palców.

- Boskie!

Słyszac to, Parker zmarszczył brwi, zaś Abby roześmiała się wesoło.

- To nie ja je robiłam - odparła. - Zamówiłam je w pobliskim barze.

- W takim razie doskonale wykreciłaś ich numer telefonu - skomentował Jay.

Znów się roześmiała. Cóż ona widzi w tym zabawnego, zastanawiał się poirytowany Parker. Przecież cała ta rozmowa jest wręcz absurdalna.

- Czy mogłabyś przyjść do mojego gabinetu, gdy skończysz jeść? - poprosił. - Powiedzmy, za dwadzieścia minut?

- Dajesz jej dwadzieścia minut przerwy na lunch? - zapytał Jay, unosząc brwi. - Uważaj, Parker, bo jeszcze pomyśla, że jesteś za miękki dla swych pracowników - zakpił.

- Ależ dwadzieścia minut to całe mnóstwo czasu - wtrąciła Abby.

- Właśnie że nie - zaprotestował Jay. - Masz prawo do godzinnej przerwy, tak jak każdy.

- Nie każdy ma tyle czasu, by móc poświęcić godzinę na zjedzenie lunchu - wycedził Parker, z hukiem zamykając kalendarz.

Dokładnie dwadzieścia minut później Abby zastukała w futrynę otwartych drzwi do gabinetu Parkera. Dosłownie przed sekundą skończyła segregowanie dokumentów, przyniesionych tego ranka w czarnych pudłach. Powkładała je do trzech kolorowych teczek. W czerwonej znalazły się te najpilniejsze, w niebieskiej takie, które wymagały podpisu Parkera, zaś w żółtej raporty. Z własnej inicjatywy Abby dodała jeszcze jedną teczkę w kolorze różowym, gdzie włożyła dokumenty, co do których nie miała pewności, do jakiej kategorii powinny być zaliczone.

Teraz żałowała, iż nie wybrała innej barwy, ponieważ różowateczka wyglądała jakoś niepoważnie i nie na miejscu.

Rzecz jasna, Parker zaczął właśnie od niej.

- Tu są mniej pilne dokumenty - wyjaśniła, zanim jeszcze zdążył zadać jej pytanie.

- To znaczy?

- Wymagają działania, ale nie natychmiastowego.

Skinąwszy głową, wyjął papiery i przejrzał je. Dwa przełożył do czerwonej teczki, jeden do żółtej, schowawszy zaś resztę z powrotem do różowej teczki, odłożył ją na bok.

- To był dobry pomysł - pochwalił.

Przez najbliższe pół godziny Abby bez wytchnienia notowała nowe instrukcje, polecenia oraz zmiany, które miała umieścić w rozkładzie tego oraz następnego dnia. Nie mogła jednak narzekać, przecież była to praca jej marzeń.

- Dziękuję, Abby - powiedział Parker, gdy zbierała no-

tatki. - Masz może jakieś pytania?

Pokręciła przecząco głową, po czym wstała.

- Nie należysz chyba do miłośników kawy, prawda? - zapytał, również podnosząc się.

- Nie.

- Tak też myślałem... pozwól ze mną.

Zaskoczona, posłusznie powędrowała za nim do kącika kuchennego. Bez słowa wyjął z ekspresu pojemnik na kawę i zaczął go opróżniać z fusów. Sądząc, że w ten sposób daje jej do zrozumienia, iż nie dopełniła swych obowiązków, zaczerwieniła się ze wstydu.

- Och, najmocniej przepraszam - wykrztusiła. - Powin-
nam była to zrobić.

- Ależ skąd. To należy do obowiązków sprzątaczek -
uspokoił ją.

Nie przerwał jednak, wobec czego Abby stała obok bez-
czynnie, przyglądając się, jak jej szef myje dzbanek oraz
pojemnik na kawę. Czując się mimo wszystko winna, chwy-
ciła lnianą ściereczkę i wytarła dzbanek, gdy tylko Parker
skończył splukiwanie z niego piany.

Podziękowawszy jej za pomoc, otworzył drzwiczki kre-
densu i przez jakiś czas przyglądał się leżącym tam papiero-
wym torebkom.

- Jeśli chodzi o mnie, to jestem wielbicielem kawy - wy-
znał wreszcie. - Tak jak wszyscy kawosze mam swoje prefe-
rencje, jeśli chodzi o ten napój. Być może ty masz podobny
stosunek do herbaty.

- Owszem. - Skinęła głową.

- W takim razie rozumiesz, o co mi chodzi. Ograniczyłem trochę picie kawy, dlatego szczególnie zależy mi, aby każda filiżanka tego napoju była doskonała. Jako że mamy zapła

nowanych na ten tydzień jeszcze kilka takich zebrań, jak to dzisiejsze, niechybnie czeka cię w najbliższym czasie parzenie hektolitrow kawy.

- Więc chcesz, żebym nauczyła się ją przyrządzać dokładnie tak, jak lubisz?

- Właśnie tak - zgodził się, wyjmując z szafki szczelnie zamkniętą torebkę, a z szuflady okrągłą miarkę. - Odmierz jedną porcję tych ziaren na każdy dwulitrowy dzbanek kawy.

Abby podeszła bliżej, by móc się uważnie przyjrzeć, jak Parker starannie odmierza brązowe ziarenka i wsypuje je do metalowego młynka.

- Teraz należy je mleć dokładnie przez pięć sekund - poinstruował.

Abby nacisnęła czerwony guziczek na wieczku młynka i powoli policzyła do pięciu.

- Sprawdźmy - powiedział, podnosząc przykrywkę. - Należy uważać, by nie zemleć ziaren zbyt drobno, bo wtedy kawa będzie gorzka. Te jednak potrzebują jeszcze ze dwóch sekund.

Gdy skończyła, Parker pozwolił jej przyjrzeć się dokładnie zmielonym drobinom kawy, tak by wiedziała na przyszłość, kiedy są już odpowiednie.

Nie dało się zaprzeczyć, że Abby nie była tego ranka tak dokładna, ale skąd mogła wiedzieć, jak przygotować kawę,

skoro Valerie nie podała jej szczegółów. Poza tym jej zdaniem każda kawa, żeby była nie wiadomo jak doskonale zmielona, smakowała obrzydliwie.

Z zainteresowaniem przyglądała się, jak Parker starannie wymiata specjalnym pędzelkiem resztki kawy z młynka. Był

tak pochłonięty tą czynnością, że zdawał się nie zwracać uwagi na nic innego. Jego zdolność do całkowitej koncentracji była doprawdy godna podziwu.

- Teraz trzeba napełnić pojemnik zimną wodą - oznajmił Parker, wyjmując z lodówki butelkę.

Tego ranka nałala do ekspresu wody prosto z kranu, sądząc, że to żadna różnica, skoro i tak się ją później nagrzewa.

- Jeśli użyjesz ciepłej wody, kawa będzie nie do wypicia - wyjaśnił, jak gdyby czytał w jej myślach. - Ot i cała filozofia - dodał, włączając ekspres.

- Dziękuję za instruktaż. Następnym razem będę bardziej uważna - powiedziała, zamykając ponownie torebkę specjalnym klipsem, zapewniającym jej szczelność.

Sprzątnęła okruchy ziarenek kawy, po czym papierowym ręcznikiem przetarła kuchenny blat. Wyrzucając zużyty ręcznik do kosza, zauważyła leżącą tam torebkę, którą opróżniła tego ranka. Wyjąwszy ją, porównała z innymi, leżącymi w kredensie. Wszystkie były identyczne.

- Abby? - Parker stanął ponownie w drzwiach. - Czy mogłabyś zadzwonić do Petera Frostwooda i zapytać, czy zdoła tu teraz przyjechać? Jeśli tak, będę mógł się z nim zobaczyć.

Abby spoglądała to na niego, to znów na trzymaną w dłoni

papierową torebkę.

- Nie ma czegoś takiego jak Indonezyjski Zielony Wulkan, prawda? - zapytała drżącym głosem.

Przez jakiś czas patrzył na nią w milczeniu.

- Nie - odparł w końcu.

A więc to nie była wina ziaren, to jej kawa smakowała jak popiół wulkaniczny, według słów Diamentowego Dona... Co

za kompromitacja! I pomyśleć, że Parker krył ją przed wszystkimi, zmyślając historyjkę o nowej odmianie ziarna.

Mimo zażenowania, jakie odczuwała w tej chwili, nie mogła powstrzymać się od uśmiechu. W końcu roześmiała się na głos, w czym zawtórował jej Parker. Nawet nie podejrzewała, że w ogóle miał poczucie humoru.

- Dziękuję ci, Parkerze - wykrztusiła po chwili.

- Nie ma za co - odparł i uśmiechnął się równie czarująco, jak Jay.

Dopiero znalazłszy się z powrotem w swym gabinecie, zdała sobie sprawę, iż po raz pierwszy całkowicie swobodnie zwróciła się do niego po imieniu.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Parker musiał przyznać, że brak mu Valerie. Nie dlatego, żeby Abby sobie nie radziła, broń Boże, była bardzo dzielna i szybko się uczyła. Po prostu dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak bardzo polegał na opinii swej asystentki, jak często zwracał się do niej po poradę. Było to prawdopodobnie przyzwyczajenie, wyniesione z lat młodości, gdy Valerie zawsze służyła mu pomocą, podczas kiedy inni nie mieli dlań czasu. To właśnie dzięki niej przetrwał ten ciężki okres po przejęciu zarządzania firmą, z nią też, a nie z matką, mógł swobodnie dyskutować na temat Jaya. Valerie zwykle w porę ostrzegała Parkera, iż jego młodszy brat brnie w kłopoty, dzięki czemu mogli zapobiec niektórym przykrym wydarzeniom.

Teoretycznie Jay był współwłaścicielem Laird Drilling, więc miał takie samo prawo decydowania o przyszłości firmy, jak Parker, jednak jak do tej pory nie wykazał właściwie żadnego nią zainteresowania, nie licząc okresów, gdy chwilowo nie miał narzeczonej, tak jak właśnie teraz.

Zdaniem Parkera, problem Jaya polegał na tym, że miał on zawsze mnóstwo pieniędzy do dyspozycji i że był dokumentnie rozpuszczony przez matkę. Po cóż więc miał zadawać sobie tyle trudu, by pracować? W związku z tym, ilekroć powierzano mu jakieś zadania, uważał, iż są dla niego zbyt proste i mało ekscytujące i w efekcie porzucał je po kilku tygodniach.

Pewnego dnia Valerie poddała Parkerowi pomysł, że jego bratu dobrze zrobiłoby uczestnictwo w projekcie, za który mógłby być w pełni odpowiedzialny i świadomy, iż w razie niepowodzenia sam będzie musiał sobie radzić z jego konsekwencjami. Gdy tylko powstał projekt wykonania odwiertów w El Bahar, Parker zdał sobie sprawę, że to idealne zadanie dla jego braciszka. Przynosząc satysfakcję Jayowi, zapewniłoby jednocześnie jemu samemu święty spokój. W dodatku, gdzie jak gdzie, ale na środku pustyni ciężko było spotkać jakąkolwiek kobietę. Wprawdzie od chwili zerwania z Lisą Jay wydawał się wyjątkowo cichy i przygnębiony, jednak teraz, gdy Valerie wyjechała, Parker nie mógł być pewien, czy tak naprawdę nic nowego się nie święci, jako że zawsze asystentka uprzedzała go o nowych podbojach miłosnych brata.

Na szczęście tego wieczoru będzie mógł mieć na niego oko. Szczerze mówiąc, Parker w głębi serca cieszył się na myśl o czekającym ich przyjęciu, lubił bowiem jazz.

W dodatku wszyscy naokoło narzekali, że zbyt wiele czasu poświęca pracy, zaniedbując w ten sposób życie prywatne. Tym razem redaktorów prasy brukowej czeka prawdziwa gratka, zobaczą bowiem jednocześnie obydwu braci Laird, bogatych, całkiem przystojnych kawalerów do wzięcia.

Te rozważania przerwało mu lekkie pukanie do drzwi, w których następnie pojawiła się głowa Abby.

- Parker, właśnie dzwonił Peter Frostwood z Luizjany
- poinformowała.

Parker westchnął ciężko.

- Chyba nie chcesz powiedzieć, że jednak wybuchł pożar w tym szybie?

- Niestety... - Pokiwała głową. - Za chwilę będzie telefonował jeszcze raz. Wyjęłam wszystkie dokumenty i mapy, dotyczące tego odwiertu.

To powiedziawszy, położyła na jego biurku stos papierowi

- Świetnie. Połącz go, gdy tym razem zadzwoni.

- Pan Frostwood wspomniał, że ten szyb znajduje się nieopodal rezerwatu. Poprosiłam Nancy, żeby przejrzała najświeższą prasę, na wypadek gdybyś chciał przygotować jakieś oświadczenie.

- To był bardzo dobry pomysł - pochwalił, podnosząc głowę znad dokumentów, które już zaczął przeglądać. - Pewnie rzeczywiście będę musiał coś napisać.

Abby uśmiechnęła się promiennie, zaś na jej policzki wy-

płynął delikatny rumieniec. Przemknęło mu przez myśl, że ma pełne prawo być z siebie dumna, wykazała bowiem inicjatywę i zdolność trafnej oceny sytuacji. Była przecież młodą pracownicą, która niemalże z dnia na dzień przejęła obowiązki asystentki dyrektora ogromnej firmy. Należała jej się prawdziwa pochwała.

- Abby?

- Tak? - zapytała, zatrzymując się w drodze do drzwi.

- Ja... - zaczął, lecz nie wiedział, co powiedzieć dalej.

Nigdy nie umiał chwalić swych pracowników. - Uważam, że doskonale sobie radzisz, zastępując Valerie. Naprawdę doceniam to, co robisz.

Czuł się wyjątkowo niezręcznie i nawet zaczął żałować, iż w ogóle poruszył ten temat, tymczasem Abby obdarzyła

go tak radosnym uśmiechem, że w jednej chwili zapomniał o swych wątpliwościach.

- Dziękuję. Barbara, Nancy i ja staramy się, jak możemy, żebyś za bardzo nie tęsknił za Valerie. Powtórzę im, że jesteś zadowolony z naszej pracy.

Uśmiechnęła się jeszcze raz, po czym odwróciwszy się na pięcie, powróciła do swego gabinetu. Po jej wyjściu Parker długo wpatrywał się w drzwi. Mimo że jego pochwała nie była najzręczniejszą sformułowaną, Abby dosłownie rozkwitła, słysząc ją. Postanowił, że będzie częściej mówił swym pracownikom, jak bardzo docenia ich wysiłki, pamiętał bowiem aż za dobrze, jak czekał na każde słowo uznania ze strony ojca. Zdarzały się one tak rzadko, iż chował je w pamięci przez długie tygodnie.

Podobało mu się również, że Abby nie wzięła całego splendoru na siebie, lecz natychmiast wspomniała o swych podwładnych, co oznaczało, iż jest osobą uczciwą oraz sprawiedliwą.

Z zamyślenia wyrwał go dzwonek telefonu. Był to Peter Frostwood.

- Czy sytuacja rzeczywiście jest poważna? - zapytał Parker z niepokojem.

- Ogień jest już pod kontrolą, ale nastąpił wyciek ropy, więc wygląda to gorzej, niż jest w rzeczywistości. Właśnie nadlatują helikoptery z reporterami. - Peter podniósł głos, chcąc przekrzyknąć hałas nadlatujących maszyn. - Co teraz?

- Jesteśmy w trakcie przygotowywania oświadczenia dla prasy.

- Doskonale. A czy nie mógłbyś tu przyjechać i spotkać się z nimi osobiście? - zasugerował Peter.

- Jeśli przyjadę, pomyślą, że sytuacja jest bardzo poważna. Z kolei jeżeli się nie pojawię, oskarżą nas o bagatelizowanie sprawy - rozważał Parker. - Oddzwonię do ciebie za kilka minut, dobrze?

Odłożywszy słuchawkę, wpatrzył się niewidzącym wzrokiem w panoramę Houston. Powinien teraz zadzwonić do któregoś z członków rady nadzorczej albo specjalisty od public relations, najchętniej jednak porozmawiałby z Valerie. Gdyby tu była, mógłby poprosić ją o zastąpienie go na wieczornym przyjęciu, dzięki czemu miałyby możliwość natychmiastowego wylotu do Luizjany. Niestety, Valerie była nieosiągalna. Zaraz, zaraz, ale przecież jest Abby!

Niewiele myśląc, udał się do jej gabinetu. Siedziała na podłodze, zajęta sortowaniem dokumentów.

- Nie wstawaj - poprosił, widząc, że szybko odkłada na bok plik papierów. - Chciałem cię zapytać, co sądzisz o tym pożarze szybu.

- Czy powinnam w tym momencie zaznaczyć, że nie mam zielonego pojęcia o gaszeniu pożarów? - odparła zaskoczona.

- Nieważne. - Sięgnąwszy do pudła, wydobył z niego kilkanaście dokumentów, po czym usiadł obok niej na podłodze i zaczął je segregować. - Co myślisz, jako zwykła obywatelka, gdy słyszysz, że gdzieś miał miejsce wyciek ropy i pożar szybu?

- O tym, że gdy następnym razem pójde na plażę, będę musiała uważać na śmierdzące, lepkie kałuże.

- Aha, czyli interesuje cię kwestia ochrony środowiska - skomentował. - W takim razie, jakiej reakcji oczekujesz od firmy za to odpowiedzialnej?

Zmierzyła go takim spojrzeniem, jak gdyby uważała, iż postradał zmysły.

- Chciałabym mieć pewność, że posprzątają cały ten bałagan i nie będą wykręcać się od odpowiedzialności.

- Tak właśnie myślałem. - Otworzył jakiś list i przejrzałszy go pobieżnie, włożył do żółtej teczki. - A czy gdybyś usłyszała to z ust dyrektora firmy, czułabyś się usatysfakcjonowana, czy raczej zaniepokojona, że sprawa może być naprawdę poważna?

- Czy to jakiś test?

- Nie, pytam po prostu o twoje zdanie. Czasem okazuje się, że Valerie ma inne podejście do niektórych kwestii niż ja albo widzi coś, czego ja nie dostrzegłem - wyjaśnił. - Nie

znaczy to, że w ogóle interesuje mnie czyjkolwiek opinia - dodał, widząc jej zdumiony wyraz twarzy.

- Tak już lepiej - roześmiała się Abby.

- To jak? Co o tym myślisz? - powrócił do poprzedniego tematu.

- Nigdy się nad tym nie zastanawiałam, ale wydaje mi się, że jeśli rzecznik prasowy przekazuje jakąś wiadomość, to ma ona zupełnie inny wydźwięk, niż gdy pada z ust najważniejszej osoby w firmie - odparła po dłuższej chwili.

- Ale chyba miałaś już do czynienia z taką sytuacją.

- Owszem, choć dumny jestem, że nie zdarza się to często.

Problem w tym, że niespecjalnie przepadam za kontaktami z prasą, bo bez względu na to, co powiem, i tak wszystko przekręcają wedle własnego widzimisię. Z tego powodu staram się ich unikać.

- Ale tym razem chyba nie powinieneś tego robić - poradziła. - Pamiętaj o tym, że temat ekologii jest ostatnio szczególnie modny.

Abby powiedziała dokładnie to, co zawsze powtarzała mu

Valerie. Wyraźnie obydwie miały dużo zdrowego rozsądku.

Mogło to oznaczać, że jednak dałaby sobie radę z Jayem...

Jego brat miał wprawdzie pewne wady, ale z pewnością nie był nieuprzejmy, więc choć Abby nie była w jego typie, na pewno nie pozostawiłby jej samej przy stoliku z powodu jakiejś olśniewającej piękności, która wpadłaby mu w oko.

Faktycznie, to byłoby całkiem niezłe rozwiązanie.

- Masz rację, powinienem jechać - zgodził się.

- Tylko nie wygłaszaj jakiejś mądrej przemowy, która brzmi, jak gdyby biedziło się nad nią dziesięciu prawników

- ostrzegła.

- A dlaczego? - zdumiał się.

- Lepiej by to wyglądało, gdybyś po prostu wskoczył w samolot, przyjechał tam zdyszany i wyznał, że nie przygotowałeś żadnego oświadczenia, ale podkreślił, że ustanowiłeś właśnie nowe, obostrzone normy bezpieczeństwa i zjawiełeś się, żeby dopilnować, by zostały wprowadzone. Możesz dodać, że twoi ludzie zadziałali błyskawicznie i tak dalej, i tak dalej... - Machnęła ręką. - Powiedz reporterom, kiedy wszystko zostanie naprawione i zaproś, żeby wtedy przyjechali i przekonali się o tym na własne oczy.

- Czyli mam podać prasie taką historię, jaka przedstawi moją firmę w możliwie najlepszym świetle?

- Właśnie.

- Może powinienem przenieść cię do działu public relations? - Uśmiechnął się szeroko. - Masz prawdziwy talent.

- Wolałabym nie - odparła poważnie Abby. - Zawsze marzyłam o stanowisku asystentki dyrektora.

Tylko czy jej marzenia miały jakiegokolwiek pokrycie

w rzeczywistości? Nie musiała przecież jeszcze radzić sobie z prawdziwymi kryzysowymi sytuacjami. Ani z Jayem.

- Wiesz, że podróż do Luizjany kompletnie zrujnuje mój rozkład dnia, a miałem tego wieczoru iść z moim bratem na koncert jazzowy, a potem na kolację z dansingiem. Gdyby była tu Valerie, posłałbym ją w zastępstwie. Jej zadaniem byłoby dopilnowanie, by Jay skupił się na czekającym go wyjeździe do El Bahar... Co cię tak bawi?

Uśmiech, z którym Abby walczyła od kilku sekund, przemienił się w głośny, serdeczny śmiech.

- Każdy wie, że rolą Valerie jest także chronienie Jaya przed ewentualnymi kłopotami. Ojej! - Zakryła dłonią usta.

- Każdy to wie? - zapytał, krzywiąc się nieznacznie. Pokiwała głową.

Świetnie, pomyślał. Czemu mnie to nawet nie dziwi?

- W takim razie masz przed sobą nie lada wyzwanie - oznajmił.

- Chcesz, żebym to ja poszła za ciebie na tę kolację? - spytała zaskoczona.

- Owszem, właśnie tego chcę.

- Mam być przyzwoitką twego brata?

- Coś w tym rodzaju.

Szczerze mówiąc, nie miał tylko pojęcia, kto będzie przyzwoitką Abby, ciekawej świata dziewczyny z małego miasteczka. Choć z drugiej strony nie będzie jej potrzebny ktoś taki, ponieważ Jay nie wykazywał nadmiernego zainteresowania nią, zdążył nawet o niej całkowicie zapomnieć w ciągu kilku godzin. Nie, nic jej nie grozi z jego strony.

- Zgoda - powiedziała, podnosząc się.

- Doskonale - mruknął Parker, choć zaczynał mieć wą-

pliwości co do słuszności swego planu, widząc, jak zgrabne są nogi jego asystentki.

Gdy poradzili sobie już z korektą jego planu dnia, wręczył Abby granatowo-srebrzyste zaproszenie na wieczorny koncert i kolację.

- Motywem przewodnim wieczoru jest kolor niebieski,

więc każdy ma się ubrać w coś tej barwy - poinformował.

- Znajdziesz w swojej szafie coś niebieskiego?

- Oprócz dżinsów? Chyba nie... - Uśmiechnęła się kwaśno.

Nie wiedzieć czemu Parker właśnie w tej chwili spostrzegł, że jej, oczy mają niesłychanie fascynujący odcień niebieskiego koloru.

- W takim razie zadzwoń do Neimana-Marcusa, niech przyślą tu coś odpowiedniego na tę okazję. Weź to na rachunek firmy.

- Sama mogę zapłacić za swoje ubranie - odparła, dumnie unosząc brodę.

- Przepraszam, nie chciałem cię urazić - zapewnił. - Nie mogę po prostu wymagać od ciebie, żebyś wydawała pieniądze na cele służbowe.

- A czy Valerie też kupujesz ubrania? - nie dawała za wygraną.

Aha, jest uparta. To dobry znak. Żeby poradzić sobie z Jayem, trzeba mieć wyjątkowo dużo uporu.

- Nie wiem, jaki układ miała Valerie z moim ojcem, zanim przejąłem jego obowiązki, ale wiem, ile płacę jej, a ile tobie. Potraktuj to jako ubiór roboczy.

Podczas gdy zastanawiała się, jaką decyzję podjąć, zatelefonował do pilota swego prywatnego samolotu, by poinformować go, iż jest już gotowy. Kiedy odłożył słuchawkę,

poznał po minie Abby, że już się zdecydowała.

- Zgoda, przyjmuję twoją propozycję, ale tylko i wyłącznie dlatego, że naprawdę nie mam nic niebieskiego, prócz

granatowego kostiumu, który całkowicie nie nadaje się na tę okazję.

- Doskonale - odparł Parker, zamykając aktówkę. - Poza tym niebieska suknia będzie wspaniale współgrała z kolorem twoich oczu.

Chociaż była to prawda, wcale nie zamierzał mówić tego głośno, ale wyrwało mu się, zanim zdążył dwa razy pomyśleć.

- Baw się dobrze - mruknął na odchodnym, po czym przez całą drogę do samolotu nie mógł myśleć o niczym innym, jak o Abby w eleganckiej niebieskiej kreacji.

Abby nie miała do tej pory najmniejszego pojęcia, że suknie wieczorowe występują w tak ogromnej liczbie odcieni niebieskiego.

- Przepraszam, że przywiozłam tak niewiele modeli, ale wielu naszych klientów wybiera się na tę kolację - wyjaśniła przedstawicielka Neimana-Marcuśa, która przemieniła biuro Parkera w wielką przymierzalnię.

Abby przesunęła dłonią po bogato haftowanym rękawie jednej z sukien, aż dotarła do metki, na której widniała taka cena, że aż zrobiło jej się słabo. Jeszcze do tej chwili miała poważne wątpliwości, czy aby dobrze zrobiła, godząc się, by Parker zapłacił za jej kreację, ale ujrzawszy ową metkę, przekonała się ostatecznie, że po prostu nie byłoby jej stać na nic naprawdę eleganckiego. Miała przecież reprezentować Laird

Drilling, powinna więc być ubrana stosownie do okazji, aby nie przynieść wstydu swemu szefowi.

- Nie, ta jest dla ciebie nieodpowiednia - orzekła Jolie.

- Zdecydowanie zbyt poważna. A co sądzisz o tej?

Rozsunąwszy zamek foliowego worka, wyjęła długą, wąską suknię barwy szafiru.

- Wyglądałabyś w niej rewelacyjnie - dodała.

Abby sięgnęła po wieszak. Rzeczywiście, suknia była elegancka, a przy tym skromna, z wysoką stójką. Jednak odwróciwszy ją, by zobaczyć tył, Abby straciła cały entuzjazm.

Suknia ta bowiem nie miała pleców.

- Nie, to nie to - mruknęła, zwracając strój Jolie.

Nie czułaby się swobodnie, wiedząc, że ma całe plecy odsłonięte, ponieważ nie lubiła zwracać na siebie powszechnej uwagi.

- A może tę? - Wskazała na suknię uszytą z granatowej szyfonowej mgielki.

Zamaszysta spódniczka połączona była z dopasowanym gorsecikiem, ozdobionym haftami. Czegoś takiego właśnie potrzebowała.

- Może być, ale nie zapominaj, że wybierasz się na koncert jazzowy, powinnaś trochę zaszaleć - stwierdziła Jolie.

- Szczerze mówiąc, brak mi skłonności do szaleństwa - wyznała Abby, po czym zdjęła sukienkę z wieszaka i powędrowała z nią do prywatnej części gabinetu Parkera.

Jeszcze nigdy tam nie była, toteż ciekawiło ją, czy miejsce to ma choć trochę osobisty charakter, jednak znalazłszy się tam, stwierdziła, że równie dobrze mógłby to być zwykły pokój w hotelu, ponieważ nie zauważyła żadnych zdjęć, pamiątek czy trofeów.

Spojrzała na swe odbicie w lustrze. Doskonale. Wyglądała odświętnie, ale bez przesady. Suknia ta była odpowiednia praktycznie na każdą okazję i stanowiła doskonały strój dla asystentki dyrektora wielkiej firmy. Zadowolona z wyboru, wyszła pokazać się Jolie.

- Faktycznie, leży dobrze, chociaż gdybyś miała chwilę czasu, mogłabyś podłapać trochę tu, w talii - oceniła.

- W takim razie wezmę ją - zdecydowała Abby.

- A nie chciałabyś obejrzeć pozostałych?

Pokręciła przecząco głową.

- Ta w zupełności mi odpowiada. Rozumiem, że są do niej jakieś buty, prawda?

Na twarzy Jolie pojawił się wyraz rozczarowania, ale posłusznie wyjęła z dużej torby parę klasycznych granatowych szpilek.

- Te będą odpowiednie - orzekła.

Jak się okazało, pantofle były wprawdzie rozmiaru Abby, ale uciskały jej pięty. Przeszedłszy kilka kroków, pewna była, iż nie wytrzyma w nich nawet godziny. Wobec tego Jolie wyjęła z torby jeszcze kilka par butów, gładkich, ozdobnych, skórzanych, atlasowych, czego tylko dusza zapragnie. Pośród nich błysnęły srebrzystobłękitne sandałki.

- Och! - westchnęła Abby na ich widok.

- Prawda, że są fantastyczne? Pasują do tej sukienki.

- Wskazała na wiszący obok półprzezroczysty worek.

Zachwycona sandałkami Abby próbowała podporządkować się głosowi rozsądku. Chociaż, co się stanie, jeśli tylko spojrzy na tę suknię?

- Proszę. - Jolie rozpięła worek. - Przecież nic się nie stanie, jak sobie na nią popatrzysz.

Abby nakazała sobie nie patrzeć, ale nie mogła się powstrzymać. Gdy tylko Jolie wyjęła sukienkę z worka, wiedziała, że jest zgubiona. Kreacja ta bowiem należała do tych eleganckich strojów, które podobają się każdej kobiecie, lecz nie każda może je nosić. Była to wąska, dopasowana do sylwetki błękitna suknia, połyskująca srebrzyście przy każdym ruchu.

- Chcesz przymierzyć? - zapytała Jolie, wyciągając ku niej rękę z wieszakiem.

- Och, nie sądzę... - wybąkała.

- Daj spokój, przecież to nic nie kosztuje. - Jolie pchnęła ją delikatnie w kierunku prywatnej części gabinetu. - I weź jeszcze buty.

- Na pewno się w nią nie zmieszczę - mruknęła Abby sama do siebie, zdejmując granatową sukienkę, na którą przecież już się zdecydowała.

A jednak zmieściła się, a suknia okazała się być w sam raz, ani za długa, ani za krótka.

- Ale buty na pewno będą za małe - pocieszała się, zapinając srebrzyste klamerki. - Są akurat, ale co z tego, przecież i tak nie dam rady chodzić na tak wysokich obcasach.

Tymczasem sandałki były tak lekkie i doskonale wyważone, że nie miała najmniejszych kłopotów z poruszaniem się. Stanąwszy przed lustrem, nieśmiało spojrzała na swe odbicie i z wrażenia aż wstrzymała oddech. Nie mogła uwierzyć, że ta elegancka, atrakcyjna kobieta to ona.

Rozległo się lekkie pukanie.

- Mogę? - zapytała Jolie, stając w drzwiach. - Ojej, czuję

się jak dobra wróżka. Gdybym sprzedała ci cokolwiek

innego, naraziłabym na szwank swoją zawodową reputację - oświadczyła, zabierając granatową sukienkę.

- Cóż, nie chciałabym, żebyś z mojego powodu straciła pracę - roześmiała się.

- Co zrobisz z włosami? - zainteresowała się Jolie.

- Jeszcze się nad tym nie zastanawiałam.

Niewiele myśląc, Jolie rozpięła klamrę, którą Abby zwykle spinała włosy.

- Ojej, czy one są naturalne? - spytała, przypatrując się z podziwem kasztanowym lokom, które opadły na ramiona Abby.

- Niestety, tak - westchnęła, próbując upiąć je jakoś z powrotem.

- Nie, zostaw - zaprotestowała Jolie. - Wiele kobiet zapłaciłoby każdą cenę za takie włosy, jak twoje. Idź teraz się przygotować, a ja tu trochę posprzątam. Zajechała już twoja karoca - dodała.

- Co takiego?

- Dzwonił kierowca limuzyny - wyjaśniła Jolie. - Mówi, że przyjechał, żeby cię zabrać na koncert.

Limuzyna! Do tej pory Abby miała okazję doświadczyć trudów, związanych z jej nową pozycją, zaś nie przypadł jej jeszcze w udziale splendor, o którym tyle marzyła. Teraz jednak to się miało zmienić.

Z trudem zapakowała klucze oraz portmonetkę do małej srebrzystej torebki wizytowej i podpisawszy wystawiony przez Jolie rachunek, pospieszyła do windy. Postanowiła, że

będzie udawać, iż jeżdżenie limuzyną to dla niej chleb powszedni, dlatego z pewną dozą nonszalancji usadowiła się wygodnie we wnętrzu pojazdu.

- Pan Laird prosił, bym przyjechał najpierw po panią, a dopiero potem po pana Jaya - poinformował ją szofer.

Z tego wszystkiego zupełnie zapomniała o istnieniu Jaya.

- Czy pan Laird zdążył na samolot? - zapytała.

Szofer spojrzął na jej odbicie w lusterku wstecznym.

- Przecież nie mogli odlecieć bez niego, prawda? - zauważył.

Och, rzeczywiście, zupełnie wyleciało jej z głowy, że firma ma swój własny samolot. Powinna zmienić dotychczasowy sposób myślenia i patrzeć na świat z perspektywy ludzi bogatych, wśród których będzie zmuszona się obracać.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Witaj. - Jay powitał Abby szerokim uśmiechem, sadowiac się obok niej w limuzynie.

Uśmiechnęła się w odpowiedzi, po czym zdradzającym zakłopotanie mchem obciągnęła spódniczkę.

- Co to? Nie ma Parkera? - zdziwił się.

- Pan Laird musiał polecieć do Luizjany, żeby ocenić rozmiar pożaru szybu. Przysłał mnie w zastępstwie - wyjaśniła Abby.

- Naprawdę? A kim ty jesteś, anielska istoto?

- To ja, Abby - odparła ze śmiechem.

Jego wyraz twarzy zdradzał, że wciąż nie wie, z kim ma do czynienia. Abby nie mogła się zdecydować, czy powinna czuć się urażona, czy raczej zadowolona.

- Asystentka Parkera pod nieobecność Valerie - odpowiedziała wreszcie.

- To ty? No, no... - W jego głosie pobrzmiwała nuta niekłamanego zachwytu. - Lubisz jazz? - zapytał, po czym nacisnąwszy odpowiedni guziczek, podniósł szybę, oddzielającą ich od kierowcy.

- Szczerze mówiąc, nie mam za często okazji, by go słuchać - wyznała, przyglądając się zamykającej się szybie.

- Głównie w starych filmach.

- Mój ojciec kolekcjonował płyty z muzyką jazzową.

Miał w swych zbiorach unikatowe nagrania. Jeśli chcesz, możemy je kiedyś wspólnie przesłuchać.

Mówiąc to, wprawnym ruchem wyjął z jednej ze skrytek butelkę szampana i napełnił dwa kieliszki. Abby postanowiła, że co kilka minut będzie przypominać samej sobie, iż Jay jest jej pracodawcą i że to nie randka, ale służbowe spotkanie. Jeśli zdoła to zapamiętać, nie napyta sobie biedy, a przy tym będzie się doskonale bawić przez cały wieczór. Poza tym, jeśli Jay zechce z nią flirtować, nie będzie zajmował się innymi kobietami, a przecież właśnie o to chodziło Parkerowi, czyż nie?

Dlatego też uśmiechała się czarująco i sączyła szampana, gorączkowo zastanawiając się nad jakimś sensownym tematem do rozmowy.

- A co sądzisz o nowoorleańskim jazzie? - dopytywał się Jay. - Byłaś kiedyś w Nowym Orleanie?

- Nie. - Pokręciła przecząco głową. - Ale jestem pewna, że ty tak.

Zaczął opowiadać jej o swych licznych podróżach, o przyjeźdźcach, w jakich uczestniczył, przygodach, jakie były jego

udziałem. Z niekłamanym zainteresowaniem przysłuchiwała się tym historiom, marząc, by kiedyś także mogła opowiadać o swych podróżach. Jay okazał się być doskonałym gawędziarzem, tak więc zanim zdążyli się zorientować, byli już na miejscu.

- Jakie miejsca radziłbyś mi odwiedzić^ gdybym wybrała się w podróż po Europie? - zapytała, gdy wchodzili na dziedziniec uniwersytetu. Bała się wprawdzie, że ma on już dosyć jej pytań, ale nie miała innego pomysłu, jak go zatrzymać przy sobie.

- Cóż, oczywiście Londyn, no i Paryż. Tylko zdecydowanie nie latem, bo wtedy są tam takie tabuny turystów, że ciężko cokolwiek zobaczyć - zaznaczył.

- Ale przecież ja też będę turystką - roześmiała się.
- Wydaje mi się, że będzie mi rażniej wmieścić się w tłum turystów, niż spacerować samotnie, nie mając do kogo ust otworzyć.

- Na pewno nie będziesz długo sama - zauważył, posyłając jej sugestywne spojrzenie.

Abby po raz kolejny musiała przypomnieć samej sobie, że Jay zawsze tak się zachowuje w stosunku do kobiet, zaś ona nie jest tu żadnym wyjątkiem, nie powinna więc od razu wyobrażać sobie Bóg wie czego.

Gdy zbliżyli się do wielkich, przeszklonych drzwi, prowadzących do głównego budynku uniwersyteckiego, gdzie odbywał się koncert, ujrzała w nich swoje odbicie u boku Jaya. Na moment wstrzymała oddech w obawie, że lada chwila wszystko to pryśnie jak bańka mydlana. Poczowała

wdzięczność wobec Parkera, że nalegał, by pozwoliła mu zapłacić za swą kreację. Była pełna podziwu dla jego dbałości o szczegóły, które prawdopodobnie umknęłyby uwagi większości mężczyzn, piastujących tak ważne stanowisko. On jednak potrafił myśleć o wszystkim i o wszystkich, co było przecież mało powszechną i dlatego ze wszech miar godną podziwu cechą.

Gdy znaleźli się w obszernym holu, natychmiast otoczyła ich grupka fotoreporterów oraz dziennikarzy.

- Czy to następczyni Lisy? - zapytała ubrana na czarno reporterka, trzymająca w ręku okazałych rozmiarów aparat.

Jay uśmiechnął się, lecz nic nie odpowiedział.

- Przepraszam za ten incydent - szepnął chwilę później. Abby jednak nie miała nic przeciwko temu, wiedząc od biurowych plotkarzy, iż wspomniana Lisa o mały włos nie została panią Laird, więc pochlebilo jej, iż została wzięta za nową przyjaciółkę Jaya. To by dopiero było, gdyby jej zdjęcie ukazało się w kronice towarzyskiej któregoś z poczytnych dzienników...

Dzięki temu zdarzeniu poczuła się nieco pewniej i z podniesioną głową wmieszała się w tłum gości, z których niemal każdy serdecznie witał się z Jayem, a co za tym idzie i z nią. Nie była na tyle naiwna, by wierzyć, że ktokolwiek ją zapamięta, po prostu cieszyła się samym faktem, iż się tu znalazła.

W pewnej chwili usłyszała nieopodal znajomy głos. Grupa gości, otaczająca Jaya oraz ją, rozstała się, by zrobić przejście Diamentowemu Donowi.

- Witaj, Jay - zawołał tamten. - Jak się masz, Abby?
Powiedz, wiesz już, co dostałaś z tego egzaminu?

- Piątkę, panie Danvers.

- Zuch dziewczyna - pochwalił. - A gdzie Parker?

Wiedząc, że wiadomość o tym i tak nazajutrz znajdzie się w gazetach, Abby stwierdziła, iż równie dobrze może odpowiedzieć na to pytanie.

- Poleciał do Luizjany. W jednym z szybów wybuchł pożar.

- Rzeczywiście, słyszałem o tym.

- Nie ma powodu do niepokoju - zauważył Jay kpiącym tonem. - Mój wielki brat panuje nad sytuacją.

Abby przypomniała sobie w tym momencie, że Jay nie miał pojęcia o pożarze i dowiedział się o nim dopiero od niej, nietrudno więc było zrozumieć jego rozgoryczenie.

- A tobie przypadło w udziale pilnowanie Jaya? - zapytał szeptem Diamentowy Don, gdy ten odwrócił się, by kogoś powitać.

- W imieniu Parkera reprezentuję Laird Drilling - odparła wymijająco.

- Ale on cię chyba nie widział w tej ślicznej sukience?

- Nie - odparła Abby, która w tej chwili pożałowała, iż nie było ku temu okazji.

- Tak myślałem - zachichotał Don Danvers. - W takim razie życzę ci miłej zabawy. - Poklepał ją serdecznie po ramieniu. - Idę sprawdzić, gdzie dzisiaj upchnęli palaczy - dodał, wyjmując z kieszeni cygaro, po czym oddalił się.

Tymczasem Jay zatrzymał przechodzącego kelnera i wziął od niego dwa kieliszki z szampanem.

- Za co wypijemy? - zapytał, uderzając lekko swym kie-

liszkiem o ten, który jej właśnie podał.

- Za spełnione marzenia - odpowiedziała bez zastanowienia.

- W takim razie za spełnione marzenia. - Nie odrywając od niej spojrzenia, podniósł kieliszek do ust.

Abby nie była pewna, czy kręci jej się w głowie od tego łyka szampana, który wypila, czy raczej od zainteresowania, jakie jej okazywał.

Położywszy dłoń na jej plecach, delikatnie poprowadził ją ku przykrytemu niebieskim obrusem stolikowi.

- Potrzyмай mój kieliszek - poprosił, po czym przestawił tabliczki z nazwiskami, stojące przy nakryciach.

- Jay, przecież tak nie można - zbeształa go, rozglądając się, czy aby nikt tego nie widział;

- Gotowe - oznajmił, odsuwając dla niej krzesło. - Teraz będziemy siedzieć obok siebie.

- Ale... - zaprotestowała słabo.

- Masz wprawdzie doskonałe przebranie, ale obawiam się, że i tak zauważą, że nie jesteś Parkerem - zażartował, po czym pochylił się tak blisko, że poczuła na skórze jego ciepły oddech, co przyprawiło ją o gęsią skórkę.

Po kolacji miała miejsce część oficjalna przyjęcia, podczas której wygłoszono pożegnalne przemówienie dla Jaya, potem zaś rozpoczęły się tańce. Ledwo zabrzmiały pierwsze takty muzyki, Jay porwał Abby na parkiet, gdzie kołysali się w takt starodawnych melodii. Spodziewała się, że cały wie-

czór przesiedzi za stołem, toteż była wręcz w siódmym niebie. Do tej pory zaledwie raz uczestniczyła w eleganckim przyjęciu, na swym balu maturalnym, tak więc czuła się wyjątkowo pod każdym względem. Jay interesował się tylko i wyłącznie nią, nie zdradzając najmniejszej ochoty na taniec z inną kobietą, co oczywiście niesłychanie jej pochlebiało. Ich doskonałego nastroju nie zdołała nawet popsuć owa reporterka, na którą natknęli się tuż przy wejściu, a która teraz za wszelką cenę pragnęła zrobić im kilka zdjęć, co zresztą jej się w końcu udało.

Abby nie sądziła, że kiedykolwiek będzie gotowa, by zakończyć ten bajkowy wieczór, ale po kilku godzinach, gdy zmęczenie dało o sobie znać, nawet lekkie jak piórko sandałki wydały jej się ciężkie. W pewnej chwili Jay zauważył, jak stłumiła ziewnięcie.

- Chyba już pora wracać do domu - orzekł z uśmiechem na ustach. - Nie jest może jeszcze bardzo późno, ale jutro o siódmej rano spodziewam się ekipy, która pomoże mi

w przeprowadzce. Oczywiście to oni wymyślili taką barbarzyńską porę, a ja, biedaczek, musiałem się na to zgodzić.

Śmiejąc się z jego zrozpaczonego wyrazu twarzy, pokiwała głową ze zrozumieniem.

- W takim razie chodźmy - zgodziła się.

Ująwszy ją pod rękę, Jay obszedł całą salę, by pożegnać się z pozostałymi gośćmi, po czym znaleźli się z powrotem w limuzynie.

- Teraz musisz mi zdradzić, gdzie mieszkasz - powiedział.

- W Westheimer, ale zostawiłam samochód na parkingu w firmie - wyjaśniła:

- Do siedziby Laird Drilling, James - wydał polecenie szoferowi Jay.

- Czy on naprawdę ma na imię James?

- Nie, w rzeczywistości nazywa się Eugene, ale woli, by zwracano się do niego James - zażartował.

Śmiejąc się wesoło, Abby odchyliła głowę na oparcie skózanego fotela.

- Byłeś dziś dla mnie naprawdę bardzo miły, dziękuję

- odezwała się po chwili, zwracając ku niemu spojrzenie.

- Nietrudno być miłym dla kogoś takiego, jak ty, Abby

- odparł, poważniejąc.

Przez króciuteńką chwilę wydawało jej się, że Jay zamierza ją pocałować, ale tylko wciągnął głęboko powietrze w płuca, po czym sięgnął po telefon.

- Uprzedzę strażników, że jedziemy-zapowiedział.

Do momentu, gdy znaleźli się na podziemnym parkingu, należącym do Laird Drilling, żadne z nich nie przerwało milczenia.

- Dziękuję, że poświęciłaś mi ten wieczór - powiedział cicho Jay, kiedy limuzyna się zatrzymała.

Co tu było do poświęcania? Kolejny samotny wieczór, spędzony przed telewizorem z miską prażonej kukurydzy? Miała ochotę wyznać mu, że zawsze marzyła o przyjęciach, takich jak to, ale w ostatniej chwili zrezygnowała.

- Cudownie się bawiłam - powiedziała tylko.

- I ja także - szepnął na odchodnym.

- A wtedy zegar wybił północ... - westchnęła, przekręcając

kluczyk w stacyjce.

„Nowa przyjaciółka Jaya Lairda?”

Parker przyglądał się ze zmarszczonym czołem zdjęciu, czarno-białemu zdjęciu, przedstawiającemu jego brata oraz jakąś długonogą piękność.

Jeszcze tego brakowało, pomyślał z westchnieniem, odchylając do tyłu głowę. W dodatku w limuzynie, którą Eugene właśnie wiozł go z lotniska, unosił się delikatny zapach perfum. A więc Jay przyprowadził tu tę kobietę. Ciekawe, gdzie się wtedy podziewała Abby? Zresztą, nie powinien mieć do niej żalu, nie mogła zapewne nic na to poradzić. Jeśli Jay ją w jakiś sposób obraził... Parker zacisnął pięści. Już on się policzy z kochanym braciszkiem.

Przebiegł wzrokiem po artykule, a następnie przyjrzał się towarzyszącemu mu zdjęciu. Nie zdołał rozpoznać tej kobiety, podobnie zresztą jak reporterzy. Fotografia przedstawiała ich w tańcu. Jay przyciskał swą partnerkę mocno do siebie, a przy tym miał zamknięte oczy. Zły znak, pomyślał Parker. Oznaczało to, że nie rozglądał się po sali w poszukiwaniu kolejnej zdobyczy, czyli że był całkowi-

cie zadowolony z tej, którą trzymał w ramionach. Niedobrze. Jay miał być przygnębiony i samotny, a nie zadowolony. Trzeba było zostać i pilnować braciszka, a nie lecieć do Luizjany.

Na następnej stronie zamieszczone były zdjęcia innych uczestników przyjęcia, lecz nie mógł wśród nich dopatrzeć się Abby. Opadły go najgorsze przecucia.

- Eugene?
- Słucham, panie Laird?
- Zawiozłeś wczoraj mojego brata i pannę Monroe na przyjęcie, prawda?
- Tak, proszę pana.
- I odwiozłeś ich. z powrotem do domu... razem?

Eugene spojrział na niego w lusterku wstecznym.

- Wysadziłem pannę Monroe na parkingu Laird Drilling, gdzie zostawiła swój samochód.
- A Jaya?
- Zawiozłem go prosto do domu, proszę pana.

Miał ochotę zapytać, czy Jay wrócił do domu sam, ale stwierdził, iż lepiej będzie, gdy dowie się tego z innego źródła.

- W takim razie jedźmy prosto do domu mojego brata - poprosił.

Po drodze do apartamentu Jaya minął się z pracownikami firmy, zajmującej się przeprowadzką, którzy ostrożnie znosili po schodach szklano-metalowy stół, należący do jego brata. Znaczyło to, że Jay na razie nie zrezygnował z wyjazdu do El Bahar. Parker odetchnął z ulgą.

- Hej, szybko wróciłeś - powitał go brat.
- Owszem-przyznał nieco oszołomiony, gdyż wygląda-

ło na to, że Jay już od kilku godzin był na nogach, co w jego przypadku było niecodziennym zdarzeniem. - Gdy tam zjechałem, okazało się, że pożar został już ugaszony.

- A to pech. Na pewno chciałeś osobiście włączyć się do akcji - zakpił Jay.

- Takie rzeczy powierzam raczej specjalistom.
- Jesteś pewien, że można mieć do nich zaufanie?
- Co cię ugryzło? - Parker powędrował za bratem do sypialni.

Jay posłał mu urażone spojrzenie, po czym wziął się do pakowania swej kolekcji płyt kompaktowych.

- Wybucha pożar w jednym z szybów, ty lecisz czym prędzej do Luizjany, a ja szczegółów dowiaduję się z gazety - wyrzucił z siebie oskarżycielskim tonem.

Parker niecierpliwym gestem przeczesał włosy dłonią. Miał za sobą naprawdę długą i męczącą noc.

- Mogłeś zapytać Abby, na pewno by ci powiedziała.
- Tak, Abby... - Jay uśmiechnął się marzycielsko, co zaalarmowało Parkera. - Powiedziała mi tyle, ile sama wiedziała, czyli raczej niewiele.

- Musiałem działać szybko - tłumaczył się niechętnie Parker. - Nie miałem czasu, by cię powiadomić.

- Ale dla Dona Danversa znalazłeś chwilę - zauważył jego brat.

- On jest w radzie nadzorczej.
- A ja to niby nie? - zaperzył się Jay.

Szczerze mówiąc, Parkerowi nawet nie przyszło do głowy, by powiadomić go o pożarze, był bowiem przyzwyczajony, że Jay nigdy nie wykazywał nadmiernego zainteresowania sprawami firmy.

- Przepraszam, powinienem był dać ci o tym znać, ale, prawdę mówiąc, niewiele mógłbyś zdziałać.
- A skąd wiesz? - prychnął Jay, wrzucając płyty bezład-

nie do pudełka.

- Nie rozumiem, czemu się ciskasz - zirytował się Parker.
- O ile zauważyłem, łatwo przyszło ci zapomnieć o tym, że wyjechałem bez uprzedzenia.

To powiedziawszy, wyjął z kieszeni gazetę i postukał w nią palcem.

- Rzeczywiście, Abby to słodka istota - przyznał Jay rozmarzonym głosem.

- Owszem, jest bardzo miła i tym bardziej nie podoba mi się sposób, w jaki ją potraktowałeś. Zostawiłeś ją przy stoliku, a sam bawiłeś się z kimś innym.

Jay zerknął na zdjęcie, a potem ponownie na brata.

- Nie powinieneś nosić okularów? Przecież to jest właśnie Abby.

- Co takiego? - Parker jeszcze raz spojrzął na fotografię. Twarz kobiety była rozmazana, ale nogi rzeczywiście wydały mu się dziwnie znajome. - Ależ ona nie wygląda jak Abby...

- Zgadzam się z tobą w zupełności - roześmiał się Jay. A więc to Abby okrzyknięto nową narzeczoną Jaya Lairda...

Doskonale, a zanim posażne panny, należące do elity Houston, zorientują się, że tak naprawdę jest ona tylko pracownicą Laird Drilling, Jay będzie już w El Bahar. Parker odechnął z ulgą.

- Fantastycznie się wczoraj bawiłem - wyznał rozmarzony Jay. - A Abby przekonała się do jazzu.

- Może spodobałyby jej się płyty z kolekcji ojca? - zasugerował Parker.

- Kto wie... Słuchaj, a wracając do poprzedniego tematu, to następnym razem, gdy coś się będzie działo, zawiadom mnie, dobrze?

- Masz moje słowo - mruknął Parker, zastanawiając się, jak długo potrwa zainteresowanie brata jego asystentką.

- Zamierzasz tu tak stać, czy może jednak pomożesz mi się pakować?

Parker pomyślał o nawale pracy, jaka czekała na niego w biurze.

- Pomogę ci się pakować - odrzekł.

RS

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Abby ułożyła na biurku Parkera kolorowe teczki z dokumentami, po czym odetchnęła z ulgą, gdyż wreszcie udało jej się uporać z bieżącą pracą. Oczywiście świadoma była, że ten przyjemny stan nie potrwa długo, tylko do chwili, kiedy w biurze zjawi się Parker, ale i tak czuła się usatysfakcjonowana. Powróciwszy do swego gabinetu, po raz setny tego dnia otworzyła gazetę na kronice towarzyskiej i wpatrzyła się w zamieszczone tam zdjęcie, jak tańczy z Jayem. Wątpiła wprawdzie, że ktokolwiek z rodziny czy znajomych rozpozna ją na tej fotografii, lecz mimo to czuła się podekscytowana. Kupiła dwa egzemplarze tej gazety, chciała bowiem wysłać wycinek rodzicom, by mogli zobaczyć swą córkę w objęciach honorowego gościa tego przyjęcia.

Parker również znalazł się w tym wydaniu gazety, lecz w rubryce biznesowej, gdzie zamieszczono jego zdjęcie w kasku na głowie. Wycięła artykuł i umieściła go w żółtej teczce.

Już miała iść na lunch, gdy w drzwiach gabinetu stanął wysoki mężczyzna, ubrany w dżinsy, sweter i adidasy. Do-

piero po chwili zorientowała się, że to przecież Parker.

- Witaj, Abby - odezwał się. - Jak ci minął wczorajszy wieczór?

- Doskonale - odparła, wciąż nie mogąc przyzwyczać się do widoku swego szefa w sportowym ubraniu.

Wyraźnie czekał, by powiedziała coś więcej, nie miała jednak pojęcia, co to niby miałyby być.

- Całe mnóstwo ludzi mówiło Jayowi, jak bardzo będzie im smutno, gdy wyjedzie - ciągnęła. - Tańczyliśmy...

- Widziałem zdjęcie w gazecie - stwierdził, uśmiechając się lekko. - Nie poznałem cię w pierwszej chwili.

- Ja siebie też nie poznałam - przyznała, rumieniąc się. - Dziękuję za tę sukienkę.

- Nie ma za co, zapracowałam na nią. Czy sprzedawczyni pamiętała o bonach?

- Jakich bonach?

- Zamówiłem bony dla Nancy i Barbary, żeby im jakoś podziękować za wysiłek, który wkładają w pracę, zwłaszcza teraz pod nieobecność Valerie - wyjaśnił.

- To bardzo miłe z twojej strony - pochwaliła Abby. Faktycznie, od czasu do czasu otrzymywały premię czy

bony, które można było realizować w wybranych sklepach ale do tej pory przekonana była, iż inicjatywa taka wychodziła od Valerie, nie od Parkera.

- Wybierałam się właśnie na lunch, ale jeśli masz dla mnie coś pilnego, to pójdę później - dodała po chwili, choć tak naprawdę chciała mu powiedzieć, jak bardzo jest mu wdzięczna za to, iż docenia pracę jej oraz Barbary i Nancy.

- Nie, nie, idź jeść. Dam ci znać, gdy będę cię potrzebo-

wał.

Następnego ranka Parker wysiadł z windy i przechodząc koło gabinetu Valerie, jak zwykle zawołał „dzień dobry, Ab-

by" do ubranej na beżowo postaci, widocznej zza oszklonych drzwi.

- Dzień dobry, Parker - usłyszał jak zwykle w odpowiedzi.

Był już w połowie korytarza, gdy zdał sobie sprawę z faktu, iż na jego pozdrowienie odpowiedziały dwa głosy, a nie jeden, tak jak to miało zazwyczaj miejsce. Zaintrygowany, przeszedł przez salę konferencyjną do gabinetu swej asystentki.

- Powiedz mi jeszcze raz, do czego jest ta różowa teczka - dobiegł go doskonale mu znany, głęboki męski głos.

- Jay? A co ty tu robisz? - zapytał, stając w drzwiach.

- Pracuję - odparł jego brat, który stał za fotelem Abby. Z narastającą niechęcią Parker dostrzegł jej uśmiechniętą twarz, błyszczące oczy oraz lekki rumieniec na policzkach.

- Ale przecież nie ma jeszcze ósmej. - Parker wciąż nie mógł uwierzyć własnym oczom.

- Owszem, a gdzie ty się podziewałeś?

- Dopiero co przyszedłem.

- W takim razie pospiesz się, bo my już jesteśmy gotowi z rozkładem dnia, prawda, Abby?

Spojrzawszy to na jednego, to na drugiego z braci, skinęła głową.

- My, to znaczy kto? - nie rozumiał Parker.
- Abby tłumaczy mi, na czym polega praca asystentki
- wyjaśnił Jay. - Pomyślałem, że też będę musiał wypracować sobie jakieś metody prowadzenia biura, gdy znajdę się w El Bahar, więc postanowiłem, że najpierw zapoznam się z twoimi.

To, co mówił, brzmiało całkiem logicznie, co jeszcze bar-

dziej zaniepokoiło Parkera, gdyż jego brat nigdy nie był znany z tego, iż kieruje się logiką. Z drugiej jednak strony, fakt, iż wspomniał o El Bahar, był wysoce pocieszający.

- Bardzo dobrze - pochwalił wreszcie, po czym szybkim krokiem udał się do swego gabinetu, gdzie przez jakiś czas siedział beczynn timer, wpatrując się w pusty blat biurka. Z dala raz po raz dobiegał go wesoły śmiech. Zirytowany, nacisnął przycisk interkomu.

- Czy rozkład dnia jest już gotowy? - zapytał nieco ostrym tonem.

- Tak, już idziemy - odparła Abby.

Zwykle plan dnia czekał już na niego na biurku, ale tego dnia opóźnienie było uzasadnione, ponieważ wciąż nie dało się nadrobić czasu, który niespodziewanie zajął mu wyjazd do Luizjany. Dlaczego więc odczuwał zniecierpliwienie? Czy z powodu tego wesołego śmiechu? Pewnie tak, ponieważ przyzwyczajony był do ciszy, która zwykle panowała w biurze. Tylko dlaczego w takim razie odczuwał dziwne klucie w okolicy serca?

Wreszcie Abby i Jay pojawili się w gabinecie Parkera, który udawał, iż nie widzi, że nogi krzesła, ciągniętego przez

jego brata, pozostawiają ślady na dywanie.

- A więc każdy dzień rozpoczyna się od omówienia zaplanowanych spotkań i innych zajęć? - upewnił się Jay.

- Tak - odpowiedzieli jednocześnie Parker i Abby.

- Niesamowite, masz co kwadrans coś innego. - Jay gwizdnął z podziwu.

- Dziś mamy więcej pracy niż zwykle, bo Parker musi nadrobić zaległości spowodowane nagłym wyjazdem do Luizjany - wyjaśniła Abby.

- Ale nie widzę tu żadnej wzmianki o kolacji. - Jay pokukał palcem w trzymany przez nią notatnik.

- Jakiej kolacji? - zdziwił się Parker.

- Obiecałeś mamie, że zjesz dziś z nami kolację i nie dam ci spokoju, zanim nie obiecasz, że przyjdiesz - oświadczył Jay z uporem, jakiego Parker u niego jeszcze nie słyszał.

- W takim razie dopisz kolację o ósmej - Parker zwrócił się do Abby.

- O szóstej - poprawił go brat.

- Na pewno nie zdążę. Przed szóstą są największe korki.

- Dobrze, niech będzie siódma - zgodził się Jay z wyraźną niechęcią. - Abby, zapraszam cię na kolację do mojej mamy. Chciałabyś przyjść?

- Ja... nie wiem... - bąkała, spoglądając to na niego, to na Parkera.

- Posłuchamy tych starych płyt, o których ci wspominałem - kusił. - Możesz kogoś ze sobą przyprowadzić, na przykład Parkera. Tylko się nie spóźnij, dobrze?

Abby była pewna, że Jay tylko żartował z tą kolacją, ale kwadrans przed szóstą w drzwiach jej gabinetu stanął Eugene.

- Musimy już wyjeżdżać, panno Monroe. Pan Laird dołączy do nas na Kąty Freeway - poinformował szofera.

- Jedź sam, Eugene. Dobrej nocy.

Kierowca wahał się przez chwilę.

- Czy jedzie pani do państwa Lairdów swoim autem?

- O, nie, w ogóle tam się nie wybieram — odparła ze śmiechem.

- Otrzymałem instrukcje, aby dopilnować, by wyciągnęła

pani pana Lairda ze spotkania i przywieźć was oboje na kolację do jego matki punktualnie o siódmej wieczorem.

To powiedziawszy, zerknął wymownie na zegarek.

Abby nie dała się dłużej prosić. Pokusa uczestnictwa w kolacji u Lairdów była zbyt wielka, aby zwykła dziewczyna z małego miasteczka w Teksasie potrafiła jej się oprzeć. Poza tym, będzie miała jeszcze jedną okazję przejechać się limuzyną. Wziąwszy to wszystko pod uwagę, szybko spakowała notes oraz najnowszą wersję planu następnego dnia i powędrowała za Eugenem.

Piętnaście minut później myślała, jak przyjemnie jest tkwić w korku, gdy się siedzi wygodnie w tak luksusowym pojeździe. Tak doskonale się czuła, że na moment zapomniała, iż za niespełną godzinę czeka ją kameralna kolacja z Parkerem, Jayem oraz ich matką. O czym będzie z nimi rozmawiać? Jak długo będzie mogła kontynuować dyżurny temat zagranicznych wojaży? A może będą omawiać sprawy służ-

bowe?

W chwili gdy prawie już postanowiła, iż wróci do biurowca Laird Drilling, zadzwonił telefon. Przez moment biła się z myślami, czy aby powinna go odebrać.

- Limuzyna pana Lairda - powiedziała, podnosząc w końcu słuchawkę.

- To ty, Abby? - Usłyszała roześmiany głos Jaya. - Gdzie jesteś?

- Na Katy Freeway. Parkera jeszcze nie ma - poinformowała.

- W takim razie nie ma mowy, żebyście zdążyli na siódmą. A może byś tak machnęła ręką na mojego brata i przyjechała sama?

- O, nie, nie mogłabym zrobić czegoś takiego - zaproponowała.

- Chyba masz rację, ale bardzo bym tego chciał - powiedział głębokim głosem.

Pamiętaj, on flirtuje z każdą napotkaną kobietą, ostrzegła samą siebie Abby.

W rezultacie musiała wręcz wyciągnąć Parkera ze spotkania, jakie właśnie odbywał. Przedstawivszy się swej odpowiedniczce w Northwestern Drilling Supply, została przez nią wprowadzona do gabinetu, w którym Parker oraz dwaj nie znani jej mężczyźni toczyli zaciętą dyskusję.

- Nie podważam argumentu o konieczności podwyższenia ceny, ale dwunastoprocentowa podwyżka to chyba przesada - zauważył Parker nieco podniesionym głosem.

Wyraźnie tracił już cierpliwość, co zdumiało Abby niepo-

miernie, gdyż przekonana była, że szef ma w sobie niewyczerpane jej zasoby.

- Oczywiście możesz wybrać się po zakupy i zapewne w końcu uda ci się znaleźć coś tańszego, ale, o ile wiemy, zależy ci na czasie - odparł siwowłosy mężczyzna.

Parker zerknął na stojącą w drzwiach Abby, po czym zebrawszy rozłożone przed nim dokumenty, wsunął je niedbale do aktówki.

- Cztery procent - rzucił, podnosząc się z fotela.

- Co to, to nie - pokręcił głową siwowłosy mężczyzna.

- Równie dobrze moglibyśmy oddać ci je za darmo.

- Cztery procent - powtórzył Parker. - Przemyślcie to jeszcze i jeśli zdecydujecie się przyjąć moją ofertę, przefakujcie mi umowę wstępną do jutra do dziewiątej rano.

Żaden z mężczyzn nie wstał ze swego miejsca.

- Zaczekaj chwilę, Parker - poprosił nagle jeden z nich.

- Usiądź, porozmawiajmy.

- Przepraszam, ale jestem umówiony.

Widząc, co się dzieje, Abby wycofała się z niewielkiego gabinetu, wyrzucając sobie, że w ogóle tam weszła. Skąd jej przyszło do głowy, żeby przerywać tak ważne spotkanie?

Chwilę później Parker był już przy niej.

- Nie zamierzam na ciebie krzyczeć, więc przestań robić taką wystraszoną minę - powiedział półgłosem.

- Przepraszam - szepnęła, podążając za nim. - Czułam się bardzo niezręcznie, przerywając ci.

Jakim cudem zauważył, że jest wystraszona? Przecież starała się tego po sobie nie pokazywać.

- Przypominanie mi o następnym punkcie planu dnia należy do twoich obowiązków - zauważył. - Poza tym wiedziałem, że zaraz się zjawisz i planowałem przedstawić ostateczną ofertę tuż przed wyjściem. Teraz mają całą noc na jej rozważenie.

Eugene otworzył im drzwi auta. Tym razem Abby usiadła tyłem do kierunku jazdy, tak by Parker miał dostęp do telefonu i komputera.

- Northwestern uważa, że może zażądać każdej sumy, a ja zapłacę bez mrugnięcia okiem - ciągnął. - Chciałbym spotkać się jutro o wpół do dziewiątej z Elkinsem z działu inwestycji. - Podniósł na nią zdziwione spojrzenie. - Nie zanotujesz tego?

- Ojej, rzeczywiście - zmieszala się.

W ten sposób spełniło się jej kolejne pragnienie. Zawsze przecież marzyła o tym, by móc pracować, jeżdżąc elegancką limuzyną.

Przez najbliższy kwadrans Parker wyrzucał z siebie w tempie karabinu maszynowego kolejne instrukcje oraz polecenia. Abby poczyniła w myślach spostrzeżenie, że kolejną różnicą, jaka występowała między nim a jego bratem, był fakt, iż Jay używał limuzyny, by zrobić wrażenie na kobietach, zaś Parker traktował ją jako biuro na kółkach. Próbowała wyobrazić sobie Parkera w roli uwodziciela, jakim był jego brat, ale poniosła kompletną porażkę. Mężczyzna o jego wyglądzie i sposobie bycia Jaya byłby niebezpiecznie bliski ideałowi, a co za tym idzie niesłychanie trudno byłoby mu się oprzeć...

Przywołała się natychmiast do porządku. Jeśli nie przestanie fantazjować, będzie bardzo rozczarowana i nieszczęśliwa, kiedy przyjdzie jej powrócić do dawnych obowiązków, gdy wakacje Valerie dobiegną końca. Starła się nie myśleć o tym, że to w ogóle kiedykolwiek nastąpi, ponieważ miała świadomość, że nie będzie już ją satysfakcjonowała posada recepcjonistki. A może, jeśli Parker będzie z niej zadowolony, nie będzie musiała wracać na swe dawne stanowisko...

- Już jesteśmy prawie na miejscu - poinformował, gdy zjechali z głównej drogi. - Spóźniliśmy się. - Skrzywił się, zerknąwszy na zegarek. - Wszystko w porządku, Abby?

- Trochę się denerwuję - wyznała nieco słabym głosem.

- Niepotrzebnie. Pamiętaj tylko, że Jay zaprosił nas głównie po to, by odwrócić od siebie uwagę matki. Mają szalenie podobne charaktery...

- Chcesz przez to powiedzieć, że nie potrafia żyć w zgodzie? - zdziwiła się.

- Nie, raczej są dla siebie bardzo wyczerpujący. Cóż za dziwne określenie, pomyślała.

- Sama zobaczysz - dodał z uśmiechem Parker, jak gdyby potrafił czytać w jej myślach.

W niedługim czasie Abby zrozumiała, co miał na myśli. Zarówno Jay, jak i jego matka uwielbiali mówić i jedno z nich rozpoczynało monolog, w chwili gdy drugie robiło przerwę na oddech. Ku swej ogromnej uldze, szybko przekonała się, że wystarczy, iż będzie słuchała uważnie i od czasu do czasu przytakiwała, a gospodarze sami zatroszczą się o podtrzymywanie rozmowy. Nic dziwnego, że Parker

wyrósł na takiego milczka. Jak mógł stać się osobą rozmowną, mając tak silną konkurencję?

Po skończonej kolacji towarzystwo przeniosło się do salonu, gdzie usiedli wygodnie, aby posłuchać płyt, pochodzących z bogatego zbioru nieżyjącego pana Lairda. Każdy utwór stanowił dla pani Laird pretekst do opowiedzenia jakiejś wdzięcznej historyjki ze swego szalenie interesującego życia. Przysłuchując się jednej z anegdot, Abby przyjrzała się wyrazom twarzy obydwu braci. Ku swemu zdziwieniu spostrzegła, że gdy Jay zaciskał niecierpliwie szczęki, na twarzy Parkera malowała się ogromna tęsknota za nieobecnym ojcem oraz wielki podziw dla tego niewątpliwie nieprzeciętnego człowieka.

Parker zastanawiał się, o czym też Abby może w tej chwili myśleć. Siedziała cicho w fotelu, z niekłamanym zainteresowaniem wsłuchując się w kolejną opowieść jego matki. Także paplanie Jaya zdawało się jej nie przeszkadzać. Jej obecność wprowadzała niezwykły spokój, nawet Jay wydawał się być tego wieczoru nieco bardziej wyciszony, jeśli to było oczywiście w ogóle możliwe. Usadowiwszy się na po-

ręczy jej fotela, od czasu do czasu szeptał jej coś do ucha, na co ona rumieniła się lekko. Szczerze mówiąc, irytowało to trochę Parkera, na szczęście ani przez chwilę nie wątpił w rozsądek Abby, która na pewno zdawała sobie sprawę, że uwaga, jaką poświęcał jej jego brat, nie była oznaką niczego poważnego. Z drugiej strony, lepiej było, aby Jay siedział tu i zabawiał Abby, niż gdyby miał się gdzieś włóczyć z grupką

swych przyjaciół.

- Czas wracać - zarządził wreszcie Parker, gdy zegar wybił dziesiątą. - Czekaj nas jeszcze prawie godzina jazdy. Zobaczymy się jutro, Jay?

W oczach jego brata pojawił się dziwny wyraz, którego Parker nie był w stanie określić, lecz przez skórę czuł, iż oznacza on kłopoty.

- Oczywiście - odparł Jay.

Ku swemu zdumieniu, w czwartkowy poranek Parker ujrzał swego brata w gabinecie Barbary i Nancy. Towarzyszyła mu Abby i obydwójce mieli takie miny, jak gdyby doskonale się bawili. Jakimś cudem zdołała również nadążyć z pracą, co było godne podziwu, gdy się miało na głowie kogoś równie rozrywkowego, jak Jay. Oznaczało to, że Abby jest zdolna do wykonywania poważniejszych zadań niż te, które powierzano jej do tej pory, toteż Parker zanotował w pamięci, by po powrocie Valerie awansować Abby na jakieś bardziej odpowiedzialne stanowisko.

- Wychodzę - poinformował, stając w samo południe w drzwiach jej gabinetu.

- Na lunch z kierownictwem Northwestern Drilling? - zapytała, zerknąwszy do kalendarza.

Skinął głową w odpowiedzi.

- Pewnie wreszcie zdecydowali, że jednak zadowolą się tą czteroprocentową podwyżką - stwierdził Jay. - Daj mi znać, jak ci poszło. Niedługo sam będę potrzebował urządzeń do odwiertów.

Jakże długo Parker czekał, aż usłyszy te słowa z ust swego brata. Nareszcie się doczekał. Zadowolony, uśmiechnął się do Jaya, lecz ten nie zauważył, był bowiem wpatrzony w Abby.

- Nie martw się, dopilnuję, żeby twoja asystentka też zjadła lunch - zapewnił Jay.

Szczerze mówiąc, Parkerowi nawet nie przyszło do głowy, by się o to zatroszczyć.

- Może zamówić sobie coś przez telefon, jeśli zechce - odparł, nieco zbity z tropu.

- Oj, Parker, Parker. - Jay spojrzał na brata z wyrzutem.

- Przecież ona bardzo ciężko pracuje, potrzebuje więc odrobiny relaksu.

- Nie, nie, to nie jest konieczne - zaprotestowała Abby, spoglądając niepewnie na swego szefa. - Mogę przegryźć jakąś kanapkę.

- Idź, jeżeli chcesz, nie mam nic przeciwko temu - zapewnił Parker, choć nie było to do końca prawdą.

Miał tylko nadzieję, że Abby jest na tyle rozsądną dziewczyną, by nie brać na serio zalotów Jaya, który przecież miał lada dzień wyjechać z kraju przynajmniej na rok.

- Abby, przyjdź zaraz do mojego gabinetu - zarządził Parker, wychodząc z windy.

Abby ruszyła za nim, by wręczyć mu najnowszy faks z Northwestern Drilling Supply.

- Właśnie to odebrałam - poinformowała, podając mu kartkę.

- Wiem już, co tam jest napisane i absolutnie nie zamie-

rzam płacić im o jedenaście procent więcej - wycedził przez zęby. - Muszę natychmiast spotkać się z innymi dostawcami.

- Masz już kogoś konkretnego na myśli, czy mam coś wyszukać?

- Przynieś mi teczkę z dokumentacją ostatnich przetargów - poprosił. - Aha, i powiedz Elkinsowi z działu inwestycji, że muszę się z nim natychmiast spotkać.

Dosłownie wybiegła z gabinetu,, mijając w drzwiach Jaya.

- Gdzie się pali? - zapytał.

- Muszę jak najszybciej wyjechać, żeby zdążyć wrócić przed jutrzejszym zebraniem rady nadzorczej - zakomunikował Parker, wyjaśniawszy, co się wydarzyło. - Oznacza to, że będziesz zmuszony sam dokończyć swój raport na temat projektu w El Bahar.

- Nie ma sprawy - uśmiechnął się Jay, otaczając ramieniem Abby, która właśnie wróciła z teczką pełną dokumentów. - Abby mi pomoże, prawda?

- Postaram się - obiecała.

- Widzisz? - Jay zwrócił się do Parkera. - Nie masz się czym martwić.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

W piątkowy rano Parker wysiadł z windy i jak zwykle szybkim krokiem powędrował w kierunku swego gabinetu. Mijając salę konferencyjną, spostrzegł w niej Jaya, który wyraźnie ożywił się na jego widok. A więc najgorszy senny koszmar Parkera nie spełnił się, Jay pojawił się w biurze przed najważniejszym chyba w jego życiu zebraniem rady nadzorczej.

- Parker, zaczekaj - zawołał go brat.

- Cześć. Skończyłeś ten raport? - Nie miał wprawdzie zamiaru o to pytać, ale wolał się upewnić, czy wszystko jest w porządku.

- Pewnie, że tak. Posłuchaj...

- Doskonale, bądź co bądź inwestycja w El Bahar to twoje dziecko.

Zdjął marynarkę i rzucił ją na oparcie sofy. Miał bardzo niewiele czasu, gdyż dopiero co przyleciał z powrotem do Houston, ale na szczęście udało mu się znaleźć nowego dostawcę sprzętu wiertniczego.

- Właśnie o tym, między innymi, chciałem z tobą porozmawiać - ciągnął Jay.

- Aha, chcesz pewnie, żebym posłuchał kawałka twojego przemówienia? Dobrze, tylko szybko, bo nie mamy wiele czasu.

- Chyba zakochałem się w Abby - oznajmił Jay.
Parker zamarł w trakcie zdejmowania z szyi krawata.

Z niedowierzaniem wpatrywał się w swego brata, który, jak mu się zdawało, wyraźnie postradał rozum. Zakochany w Abby? Przecież to ona miała dopilnować Jaya, aby się w nikim nie zakochał, a już tym bardziej w niej. Spokojnie, to się da jakoś wyjaśnić, pocieszał się w duchu. Powolnym ruchem zdjął krawat, po czym zaczął rozpinąć guziki koszuli.

- I? - zapytał, wzrokiem zachęcając brata, by rozwinął jakoś swą wypowiedź.

- I? Tylko tyle masz mi do powiedzenia? - zaperzył się Jay.

- Przecież właśnie wyznałem, że jestem zakochany w Abby!

- Oznajmiłeś, że chyba się w niej zakochałeś - uściślił Parker. - O ile pamiętam, nieraz byłeś „chyba” zakochany. Na przykład w Lisie.

- Ale tym razem to co innego.

Trudno było się z tym nie zgodzić, bowiem w tym przypadku istniało zagrożenie, iż długie miesiące żmudnych negocjacji pójdą na marne.

- Przecież prawie jej nie znasz - zauważył Parker i ledwo to powiedział, a już zaczął żałować, że wcześniej nie ugryzł się w język.

- Właśnie o tym chciałem z tobą porozmawiać - oznajmił, zgodnie z jego przewidywaniami, Jay. - Potrzebuję trochę czasu, by ją lepiej poznać.

Parker postanowił zagrać na zwłokę.

- Posłuchaj, nie spałem przez całą noc, prosto z lotniska przyjechałem do biura, a za godzinę rozpoczyna się zebranie rady. Muszę się odświeżyć. Porozmawiajmy po spotkaniu.

- Nie! - odparł niesłuchanie stanowczo jego brat. - Jeśli nie omówimy tego teraz, podejmę ten temat jeszcze raz, ale na zebraniu.

- Rób, jak chcesz, ale ja i tak zamierzam wziąć prysznic.

Zdjąwszy spodnie, udał się do niewielkiej łazienki, zastawiając się cały czas, dlaczego odczuwa taki chłód. Przecież klimatyzacja była ustawiona na taką samą temperaturę, jak zwykle.

- Nie zbywaj mnie, Parker. - Jay podążył za nim do łazienki. - Abby to kobieta, jakiej szukałem przez całe życie - wyznał z charakterystycznym dla siebie patosem.

Parker wszedł pod prysznic. Choć specjalnie ustawił strumień gorącej wody, ciągle było mu zimno. Musiał przyznać przed samym sobą, iż Abby faktycznie była odpowiednią partnerką dla Jaya. Inteligentna, czarująca, a przy tym ambitna i pracowita. Poza tym wywarła doskonale wrażenie na ich matce...

- Teraz, kiedy już to zrozumiałem, nie mogę wyjechać na tak długo - dokończył Jay.

A więc jednak wycofuje się, pomyślał Parker z irytacją. Jeszcze niedawno domagał się, by dano mu kolejną szansę pokazania, na co go stać, i proszę, pokazał, że absolutnie nie można na nim polegać.

- Co na to wszystko Abby? - zapytał w końcu, próbując zapanować nad narastającym gniewem.

- Jeszcze jej nie wyznałem, co czuję - odparł Jay po chwili wahania.

- Czyli nawet nie wiesz, czy odwzajemnia twoje uczucia?

- Wydaje mi się, że nie jestem jej obojętny. - W głosie

Jaya pobrzmiewała pewność siebie, niewątpliwie poparta ja-

kimiś konkretnymi dowodami. - Może jeszcze nie do końca zdaje sobie z tego sprawę.

Parker przypomniał sobie ich zdjęcie, zamieszczone we wtorkowej gazecie, rumieńce na twarzy Abby, jej radosny śmiech. Czy znaczyło to, iż odwzajemnia ona uczucia jego brata? Nie, raczej było mało prawdopodobne, by rozsądna Abby Monroe zadurzyła się w Jayu. A jeśli tak? Przecież Jay może zadać jej ból! Parker nawet przez chwilę nie wątpił, iż uczucie jego brata jest tak samo nietrwale, jak to bywało do tej pory. Czy on w ogóle kiedykolwiek dorośnie? Pewnie liczył na to, że Parker w jego imieniu zaapeluje do rady nadzorczej o przesunięcie rozpoczęcia inwestycji, wyjaśniając, że Jay musi zostać w Houston, gdyż jest właśnie zakochany i nie ma głowy do takich przyziemnych spraw, jak nadzorowanie odwiertu.

- Abby jest taka... świeża i naturalna - westchnął z rozmarzeniem Jay. - Nie przypomina nikogo z moich znajomych. Wszystko jest dla niej nowe i ekscytujące...

I pomyśleć, iż Parker miał nadzieję, że właśnie ten jej brak obycia z wielkim światem podziała na Jaya odstręczająco.

- Życie jest dla niej pasmem fascynujących wydarzeń i dlatego w ogóle nie nudzę się w jej towarzystwie - ciągnął tamten.

- W El Bahar nie będziesz miał czasu się nudzić - zauważył Parker, zastanawiając się przy tym, jakich argumentów użyć, by w ciągu pół godziny przekonać niesforne go braciszka, że wcale nie jest zakochany w Abby i że powinien

jechać do El Bahar, tak jak to zostało zaplanowane.

- Przy niej czuję się mądry i potrzebny - nie dawał za wygraną Jay. - Jej podziw sprawia, że czuję się lepszy.

- Nie wiem, czy Abby nadal będzie uważała cię za mądrego, gdy odrzucisz propozycję kierowania oddziałem firmy - stwierdził przebiegle Parker.

- Ale ja nie zamierzam jej odrzucić, po prostu nie chcę wyjeżdżać w przyszłym tygodniu. Przecież ropa to nie zajac, nigdzie nie ucieknie - zażartował. - Mam pomysł! Niech ten twój łan zacznie beze mnie, a ja przez jakiś czas będę z nim w kontakcie telefonicznym.

- Jay, bądź realistą, przecież nie możesz prowadzić firmy na odległość - tłumaczył cierpliwie, choć tak naprawdę miał ochotę wziąć brata za ramiona i potrząsnąć nim z całej siły.

- Przed tobą miesiące ciężkiej pracy.

- Wiem, wiem, ale mój związek z Abby...

- Jaki związek? - zachnął się. - Przecież ona jeszcze nic o tym nie wie! Powiedz mi, jak ty to sobie w ogóle wyobrażasz? Wejdiesz na zebranie rady i oznajmisz, że bardzo przepraszasz, ale zmuszony jesteś odwołać całą operację?

- zapytał, wycierając plecy dużym ręcznikiem kąpielowym.

- Nie odwołać - skorygował Jay, nieznacznie wzruszając ramionami. - Raczej przesunąć o kilka miesięcy.

- O kilka miesięcy! — powtórzył gniewnym głosem, owijając sobie ręcznik wokół bioder. - A więc tyle czasu wystarczy, byś przestał się interesować Abby?

- Ależ nie! Ona jest naprawdę wyjątkowa. - W oczach Jaya zapaliły się czułe ogniki. - Czy wiesz, że marzy o po-

dróżach?

Parker pokręcił przecząco głową.

- Chcę jej pokazać Londyn, Paryż, Rzym, zwiedzać z nią zamki nad Loarą, pływać gondolą po weneckich kanałach...

- Wystarczy, wiem, o co ci chodzi - przerwał mu ostro.

- To nie jest jakaś przelotna miłośćka - zapewnił Jay.

- A za kilka miesięcy powiesz mi, że nie możesz jechać do El Bahar, bo nie chcesz się z nią rozstawać na tak długo?

- zapytał Parker, zastanawiając się, czy powinien zaryzykować i ogolić się, czy raczej winien się powstrzymać, bo przy obecnym stanie nerwów gotów jest się zaciąć.

- Może się tak zdarzyć - przyznał jego brat.

Chyba jednak zrezygnuję z golenia, zdecydował.

- Albo za dwa, trzy miesiące znudzi ci się jej wieczny entuzjazm i brak doświadczenia, więc zostawisz ją dla jakiejś długonogiej blondynki - stwierdził, wyjmując z szuflady świeżą bieliznę i parę skarpetek.

- Nie ma mowy - oburzył się Jay. - W ogóle mnie nie słuchałeś! Nie traktujesz mnie poważnie tylko dlatego, że nie zamierzam tak jak ty poświęcić swego życia prywatnego dla firmy.

- Bo nie zasługujesz na poważne traktowanie! - Parker poczuł, że zaczyna tracić już cierpliwość. - Zachowujesz się jak dzieciak, nic cię nie obchodzi, że masz zobowiązania wobec inwestorów, wobec mnie. Zamierzasz porzucić wszystko dla dziewczyny, którą znasz zaledwie tydzień.

- Abby to nie jest jakaś tam dziewczyna!

- Owszem, to nasza pracownica. Rozumiesz, co to znaczy?

Z wyrazu twarzy Jaya wyczytał, że do tej pory nie przyszło mu to do głowy.

- Bądź ostrożny, Jay - poprosił, zapinając guziki śnieżno-białej koszuli. - Zanim podejmiesz jakieś wiążące decyzje, zorientuj się, co Abby do ciebie czuje. Może być przecież zaręczona z jakimś chłopakiem ze swego rodzinnego miasteczka.

- Rzeczywiście, nie pomyślałem o tym - przyznał Jay ze szczerością, która świadczyła o tym, iż Abby faktycznie nie była mu obojętna.

- Zróbmy w ten sposób. Przeprowadź tę prezentację, którą na dziś przygotowałeś. Rada i tak nie podejmie od razu ostatecznej decyzji, więc będziesz miał jeszcze sporo czasu na przemyślenie tego wszystkiego - poradził mu Parker, zawiązując krawat. - Na pewno doskonale sobie dziś poradzisz, umiesz mówić tak, by cię słuchano z zainteresowaniem. Ja tego nie potrafię...

- Czyżby wielki Parker Laird przyznał właśnie, że jego młodszy brat jest w czymś od niego lepszy? - zdziwił się Jay.

- Tylko sobie nie wyobrażaj zbyt wiele, mały - roześmiał się Parker.

Tym razem Abby nie miała zamiaru tak się skompromitować, jak to miało miejsce w poniedziałek, więc starannie zaparzyła kawę, skrupulatnie stosując się do zaleceń Parkera. Była mu wdzięczna za jego dyskrecję, czułaby się bowiem jeszcze gorzej, gdyby wszyscy zebrani dowiedzieli się, iż to dzięki niej kawa smakowała jak popiół wulkaniczny. Parker miał wysoce skomplikowaną osobowość, stanowiąc tym cał-

kowe przeciwieństwo Jaya, którego łatwo było poznać i polubić. Nie mogła się jednak nie zgodzić z Parkerem, iż jego brat był na dłuższą metę męczący.

- Abby? - usłyszała głos Jaya, który wszedł właśnie do jej gabinetu. - Przyjdiesz posłuchać mojej prezentacji? - zapytał, uśmiechając się czarująco.

Niemal odruchowo spojrzała na stojącego za nim Parkera, którego oczy dziwnie pociemniały.

- Już słuchałam jej dwa razy - odparła wymijająco.
- Tak, ale wtedy to były tylko ćwiczenia.
- Abby ma swoje obowiązki - przypomniał mu Parker.
- Pozwól jej przyjść - poprosił Jay, zwracając się do brata.
- Na szczęście.

Mimo iż pozornie rozmawiali spokojnymi głosami, wyczuwała panujące między nimi napięcie i zastanawiała się, czym jest ono spowodowane. Intuicją podpowiadała jej, iż kwestia, czy będzie obecna na zebraniu, jest z jakichś przyczyn niesłychanie istotna.

- Dziękuję, Jay, ale jestem bardzo zajęta - odmówiła grzecznie. - Na pewno dasz sobie świetnie radę.

- Abby pomagała mi w przygotowywaniu tej prezentacji - wyjaśnił Jay, zwracając się do brata. - Nie wiem, co bym bez niej zrobił...

Poczuła na sobie uważne spojrzenie Parkera.

- Nie mam nic przeciwko temu, byś została na zebraniu - zapewnił, choć ton jego głosu sugerował coś całkowicie przeciwnego.

- Świetnie - ucieszył się Jay. - Usiądź tutaj. - Przysunął

do stołu jeszcze jedno krzesło.

- Nie, stanę sobie w drzwiach, tak by móc w razie potrzeby wyjść - odparła, odstawiając krzesło na miejsce.

W następnej chwili Nancy wprowadziła do sali konferencyjnej pierwszych uczestników zebrania, dzięki czemu Abby nie musiała wysłuchiwać dalszych protestów Jaya. Zajmując swe miejsce przy drzwiach, zastanawiała się, co może być przyczyną kiepskiego nastroju Parkera. Prawdopodobnie nie zdołał znaleźć nowego dostawcy, co oznaczało, że będzie musiał jeszcze raz wyjechać, ona zaś zmuszona będzie

ponownie przekładać zaplanowane na najbliższe dni spotkania.

Przez cały czas trwania prezentacji Jaya czuła na sobie skupione spojrzenie swego szefa. Nie mogła pojąć, dlaczego tak jej się przypatruje...

Podczas przemówienia Jaya, Parker analizował każdy uśmiech, każdy gest Abby. Wraz ze wszystkimi śmiała się z jego dowcipów, kilka razy kiwnęła głową. Ale co tak naprawdę czuła? Istniało raczej niewielkie prawdopodobieństwo, by była zakochana w Jayu, lecz nie można było wykluczyć takiej możliwości.

Parker musiał przyznać, iż jego brat ma prawdziwy talent krasomówczy, zdołał bowiem z nudnego, pełnego rozmaitych danych raportu uczynić fascynujące, dowcipne przemówienie. Rozwiał wszelkie wątpliwości co do słuszności swej kandydatury, powołując się na fakt, iż swym zastępcą zamierza uczynić Iana Douglasa, co było dobrym posunięciem taktycznym, ponieważ wszyscy zebrani znali go doskonale.

Sam Parker był już teraz całkowicie pewny, iż Jay powinien jechać do El Bahar, udowodnił bowiem, iż zdolny jest pokierować tak odpowiedzialnym zadaniem.

- Jeśli nie ma więcej pytań, czy możemy zagłosować, kto jest za przyjęciem raportu? - zapytał.

- Wszyscy, jak jeden mąż - zawołał Diamentowy Don. Rozbawieni tym członkowie rady podnieśli ręce i jednogłośnie przyjęli wniosek.

Nie uszło uwagi Parkera, iż Jay odszukał wtedy wzrokiem Abby, a pochwycawszy jej spojrzenie, uśmiechnął się radośnie, jak dziecko, które właśnie otrzymało pochwałę od ma-

my. Równie dobrze mógłby ogłosić swe uczucia w telewizji, zirytował się Parker. Jeśli chodzi o Abby, to podniosła ona obydwie kciuki, po czym powróciła do swego gabinetu. Muszę z nią jak najszybciej porozmawiać, postanowił. Muszę wiedzieć, czy odwzajemnia jego uczucia. Z tą myślą, ruszył w kierunku drzwi, lecz zatrzymał go Diamentowy Don.

- Bardzo się cieszę, że twój brat wreszcie do nas dołączył.

- Tak, ja też - mruknął Parker, nie chcąc wdawać się w dłuższą dyskusję.

- Zdaje się, że mała Abby wpadła mu w oko - ciągnął Don. - To wspinała dziewczyna, na pewno będzie umiała utrzymać go w ryzach.

Don najwyraźniej zauważył, co się święci, i przyszedł go ostrzec.

- Owszem, to doskonała pracownica - zgodził się Parker.
- Słuchaj, Don, muszę wyjechać na kilka dni, żeby znaleźć nowego dostawcę sprzętu do odwiertów i zabieram ze sobą Abby. Czy mógłbyś pomóc Jayowi, w razie gdyby miał jakieś pytania?

- Jasne - uśmiechnął się Don, wkładając do ust cygaro.

- Gdzie chcesz, żebym z tobą pojechała? - zapytała Abby, nie dowierzając własnym uszom.

- Do Colombe - powtórzył Parker. - Na prywatną wyspę we wschodniej części Karaibów. Zamieszkamy u Kitta Ramsdella, producenta sprzętu wiertniczego. Być może właśnie z nim podpiszemy ostatecznie umowę.

Na Karaiby? Wprawdzie zawsze śniła o egzotycznych podróżach, ale nie sądziła, że jej marzenie tak szybko się spełni.

- Kiedy wyjeżdżamy?

- A jak prędko zdążysz się spakować?

Oczy Abby rozszerzyły się ze zdumienia.

- Zapakuj tylko najpotrzebniejsze rzeczy - dodał, widząc wyraz jej twarzy. - W razie czego, tam też są sklepy.

Proszę, a coś jej mówiło, żeby kupiła ten kostium kąpielowy podczas zimowej wyprzedaży. Gdyby posłuchała głosu swej intuicji, nie musiałaby się teraz martwić, że w jej starym kostiumie jest ogromna dziura. Nie wygłupiaj się, jedziesz przecież do pracy, a nie na wakacje, zbeształa się w duchu.

- A jak długo tam będziemy?

- Nie wiem, dzień, może dwa. Zależy od tego, czy Kitt

będzie w nastroju do pracy.

Dziwne, Parker Laird nie wie, kiedy będzie mógł wrócić do swych zwykłych obowiązków. Szczerze mówiąc, zauważyła, że Parker od rana zachowuje się, delikatnie mówiąc, nieswojo.

Podczas zebrania w ogóle nie zwracał uwagi na to, co mówił Jay, ale przez cały czas przypatrywał jej się intensywnie. Nie miała najmniejszego pojęcia, co to miało oznaczać.

- Jedź teraz do domu, a Eugene zabierze cię za godzinę na lotnisko - zarządził Parker.

- Ależ godzina to za mało - zaprotestowała Abby, która wprawdzie marzyła o podróży na Karaiby, ale przecież nie mogła całkowicie stracić głowy i zapomnieć o swych biurowych obowiązkach. - Muszę jeszcze dokończyć kilka zaczętych spraw i porozmawiać z Barbarą oraz Nancy. Poza tym nie potrafię pakować się w pięć minut...

- Dobrze, dobrze. - Parker machnął ręką. - W takim razie wyruszamy za dwie godziny.

- A dokąd się wybieramy? - wtrącił się Jay, stając w drzwiach. - Na uroczysty obiad?

- Nie, na spotkanie z Kitem Ramsdellem - odparł szybko Parker i zanim Abby zdążyła pogratulować Jayowi udanej prezentacji, wyprowadził brata do sali konferencyjnej...

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Ojej, myślałam, że takie samoloty istnieją tylko w filmach! - zawołała Abby, gdy znalazła się na pokładzie samolotu, należącego do Laird Drilling.

Parker nic nie odpowiedział, tylko uśmiechnął się lekko.

Coś go wyraźnie gnębiło. Abby miała ochotę zapytać, co jest powodem jego zmartwienia, ale jakoś brakowało jej odwagi. Gdyby naprzeciwko niej siedział nie on, lecz Jay, nawet nie potrzebowałyby pytać, był on bowiem chyba ostatnią osobą, która mogłaby ukrywać swe uczucia. Pod tym względem, jak i pod wieloma innymi, Parker stanowił jego całkowite przeciwieństwo.

Bardzo była ciekawa, na czym będzie polegać jej praca na Colombe, ale jako że Parker rozmawiał właśnie z kimś przez telefon, musiała poczekać, aż skończy. Miała tylko nadzieję, że jednym z jej obowiązków okaże się leżenie na plaży i popijanie kolorowych koktajli, ozdobionych uroczymi papierowymi parasoleczkami. Oczywiście, nie liczyła na to zbytnio, toteż spakowała do dużej torby wszystkie użyteczne biurowe akcesoria, między innymi duży notatnik, dyktafon oraz dokumenty, dotyczące sprzętu wiertniczego, używanego przez Laird Drilling. W ostatniej chwili wrzuciła też fascynującą powieść, którą ostatnio zaczęła czytać. Miała ochotę

wyjąć ją teraz, skoro Parker nie powiedział jej, co ma robić, ale stwierdziła, iż wyglądałoby to wyjątkowo nieprofesjonalnie.

- Jesteśmy gotowi, Chris - powiedział Parker, wyłączwszy wreszcie telefon komórkowy.

- Wystartujemy, gdy tylko otrzymamy pozwolenie z wieży kontrolnej - odparł pilot.

Parker usadowił się wygodniej w fotelu, po czym odchyliwszy do tyłu głowę, zamknął oczy. Był wyraźnie zmęczony, miał podkrążone oczy oraz dziwnie bladą twarz. Mimo to,

Abby po raz pierwszy tak naprawdę odkryła, jaki jej szef jest przystojny. Oczywiście wiele razy miała okazję przyjrzeć mu się, ale dopiero teraz do niej to dotarło. Jay był również przystojny, ale jego uroda miała jeszcze niedojrzały charakter, zaś rysy twarzy Parkera były zdecydowanie bardziej męskie.

Na myśl o Jayu zrobiło jej się smutno, że nie zdażyła mu pogratulować niewątpliwego sukcesu, jakim było jego wystąpienie na spotkaniu członków rady nadzorczej. Miała tylko nadzieję, iż znajdzie chwilę czasu, aby porozmawiać z nim przed jego odlotem do El Bahar.

- Przepraszam, że tak cię zaskoczyłem tym wyjazdem - odezwał się niespodziewanie Parker, nie otwierając oczu.

- Cóż, Valerie uprzedzała mnie, że muszę być dyspozycyjna - roześmiała się.

- Miałaś dużo wrażeń, jak na jeden tydzień, prawda?

- Oj, tak - przyznała. - To nie to samo, co przepisywanie raportów produkcyjnych.

Otworzył oczy i spojrzał na nią z uwagą.

- Pewnie masz rację. Nie wiedziałem, że jesteś niezadowolona ze swojej pracy.

- Nie jestem niezadowolona - pospieszyła z zapewnieniem.

- Po prostu pod pewnymi względami praca asystentki bardziej mi odpowiada. Czy przepisywałaś kiedykolwiek takie raporty?

Pokręcił przecząco głową.

- Tak myślałam. Oczywiście zdaję sobie sprawę, że ktoś to musi robić, chodzi mi po prostu o to, że to dość niewdzięczne zadanie.

- Mamy pozwolenie na start - oznajmił pilot i po chwili samolot zaczął kołować po płycie lotniska.

Abby, która jeszcze nigdy nie miała okazji lecieć, poczuła dziwny ucisk w gardle. Tak oto zaczyna się moja wielka przygoda, pomyślała podekscytowana.

- Zdażyłaś zjeść lunch? - zapytał Parker, zdejmując marynarkę.

- Nie. - Pokręciła przecząco głową.

- Ja też nie. Chodź, pokażę ci, gdzie jest kuchnia. Kiedy mam większe towarzystwo, zwykle wynajmuję kogoś do obsługi, ale pomyślałem, że skoro tym razem jesteśmy tylko we dwoje, damy sobie radę sami.

Idąc wąskim korytarzykiem, Abby zastanawiała się, czy przygotowywanie posiłków również należy do jej obowiązków. Jeśli tak, to Parker będzie musiał jej o tym powiedzieć, bądź co bądź znalazła się w takiej sytuacji po raz pierwszy i ma prawo tego nie wiedzieć.

- Tu jest kuchenka mikrofalowa, a tutaj lodówka - objaśnił, gdy znaleźli się w niewielkim pomieszczeniu kuchennym. - Zobaczmy, co my tu mamy... Co lubisz jeść?

W tym momencie zdała sobie sprawę, że jest głodna jak wilk i jeszcze chwila, a zaczną jej głośno burczeć w brzuchu.

- Kanapki - odparła bez namysłu.

- Ej, chyba możemy sobie pozwolić na coś bardziej wyszukanego - zauważył z tak czarującym uśmiechem, że Abby na chwilę aż wstrzymała oddech. - Co wolisz, medaliony cielejące z ziemniakami czy lazanie? - zapytał, wyjąwszy z lodówki dwa plastikowe pojemniki z gotowymi daniami. -

Mamy jeszcze pierś kurczaka, jakąś wołowinę i... sztukę mięsa w sosie chrzanowym! - Roześmiał się serdecznie. - Poprosiłem Dimitrija, szefa kuchni restauracji, która zaopatrjuje w jedzenie nasz samolot, żeby przygotował coś niewyszukanego i chyba wziął to sobie do serca.

Śmiejąc się pod nosem, zrobił kilka dziurek w plastikowej przykrywce pojemnika, po czym wstawił go do mikrofalówki.

- Zdecydowałaś już, na co masz ochotę? - zapytał po chwili.

Abby wiele razy marzyła o służbowych podróżach, jak ta, pewna była jednak, że w jej fantazjach nie było miejsca dla prozaicznej sztuki mięsa.

- Poproszę o medaliony.

Parker w milczeniu skinął głową, po czym włożywszy drugi pojemnik do kuchenki mikrofalowej, zaczął nakrywać do stołu. Nie wiedzieć czemu widok ten przyprawił ją o dziwne drżenie serca.

- Czyżbyś nie spodziewała się, że umiem nakrywać do stołu? - zapytał, jak gdyby potrafił czytać w jej myślach.

- Nigdy o tobie w ten sposób nie myślałam - przyznała.

- W ten sposób, to znaczy, w jaki?

- Czy ja wiem? - zawahała się. - Nie wyobrażałam sobie ciebie przy zwykłych, domowych czynnościach.

- Rozumiem - mruknął. - Wody mineralnej? Herbaty? Kawy?

- Poproszę o wodę.

- A więc, w jaki sposób o mnie myślisz? - nie dawał za wygraną.

Podał jej otwartą butelkę oraz szklanę.

- Myślę o tobie jako o swoim szefie.
- Aha. - Postawił przed nią miseczkę koktajlu z krewetek.
- Jedz.
- Tak jest, szefie. - Uśmiechnęła się łobuzersko.
- Wiesz, bardzo lubię, kiedy się uśmiechasz - wyznał niespodziewanie, siadając naprzeciwko niej. - Ludzie rzadko kiedy uśmiechają się w moim towarzystwie.

Spojrzała na niego szeroko otwartymi ze zdumienia oczyma.

- Chodzi mi o to, że atmosfera w biurze jest tak oficjalna, że każdy obawia się uśmiechnąć - wyjaśnił.

- W obecności Valerie też raczej jesteśmy poważni - pocieszyła go.

- Wiem, ja też - wyznał z niesłychanie czarującym uśmiechem. - Mój ojciec był wyjątkowo poważnym człowiekiem, więc Valerie przyzwyczajona była do tego rodzaju atmosfery w biurze, dlatego też utrzymała ją po przejęciu firmy przede mną. Wiesz, byłem wtedy bardzo młody i taka oficjalność w kontaktach z pracownikami dodawała mi nieco odwagi.

Abby nie mogła sobie wyobrazić, aby Parker kiedykolwiek potrzebował dodawać sobie w jakikolwiek sposób odwagi. Zastanawiała się, jak musiał się czuć, przyjmując na siebie tak ogromną odpowiedzialność w tak młodym wieku. Przypuszczalnie zmuszony był nieustannie udowadniać sceptykom, że mimo iż jest młody, daje sobie radę na tak wysokim stanowisku.

Podczas posiłku rozmawiali o wszystkim, tylko nie o czekającej ich na Colombo pracy. Parker wypytywał Abby o jej wspomnienia z czasów szkolnych, rodzinę, życie w małym miasteczku.

- Miałam normalne, szczęśliwe dzieciństwo - stwierdziła, zdumiona jego nagłym zainteresowaniem.

- A co rozumiesz przez normalne dzieciństwo?

- No wiesz, szkoła, zabawy z przyjaciółmi, mama, która pracowała na pół etatu, żeby móc się zająć mną i siostrą, zastęp skautek, próby chóru, lekcje gry na pianinie, kibicowanie kolegom podczas meczów piłki nożnej, i takie tam... A twoje dzieciństwo wyglądało inaczej? - zapytała, widząc jego zaciekawione spojrzenie.

- Trochę - odparł po chwili wahania. - Chodziłem do prywatnej szkoły. Po lekcjach graliśmy w piłkę do wpół do szóstej, a potem nasz kierowca zabierał mnie do domu na kolację i do końca wieczoru odrabiałem lekcje - bez zająknięcia wyrecytował swój rozkład dnia z dzieciństwa. - Rano wszystko zaczynało się od nowa.

- Założę się, że nosiłeś mundurek. Granatową marynarkę i krawat w paski, prawda?

- Skąd wiesz? - zdziwił się.

- Ponieważ teraz przez cały czas chodzisz w garniturze.

- Szczerze mówiąc, czuję się w nim pewniej.

I wyglądasz doskonale, chciała dodać, na szczęście w porę ugryzła się w język.

- A co z weekendami, z wakacjami? Nawet wtedy nie miałeś czasu na zabawy z przyjaciółmi? - zapytała.

- Zanim skończyłem jedenaście lat, w każde wakacje jeździłem na obóz, a potem zacząłem pracować razem z ojcem.

Nic więc dziwnego, że nie umiał żyć bez szczegółowo

rozpisanego planu dnia. Bez wątpienia Parker Laird był najbardziej skomplikowanym człowiekiem, jakiego w życiu spotkała.

Wylądowali na wyspie St. Thomas, ponieważ ich samolot był zbyt duży, by zmieścić się na niewielkim lądowisku w Colombe.

- Zawsze myślałam, że wyspy są płaskie - wyznała Abby, patrząc przez okno. - Tymczasem ta wygląda jak wystająca z oceanu góra.

Parker przypomniał sobie słowa Jaya o podróżach, które są jej marzeniem.

- Nie byłaś nigdy na żadnych wyspach? - zapytał, choć z góry znał odpowiedź.

- Nigdzie jeszcze tak naprawdę nie byłam. Właśnie dlatego przeniosłam się do dużego miasta.

- Ponieważ chciałaś mieć możliwość podróżowania po świecie?

- Tak. Czy to wydaje ci się niemądre? - Zerknęła na niego przez ramię.

- Nie, wręcz przeciwnie, uważam, że to godne podziwu - zapewnił szczerze.

Po rozmowie, jaką odbyli na pokładzie samolotu, Parker miał już mniej więcej wyobrażenie o tym, kim jest Abby Monroe. Uważał ją za inteligentną dziewczynę z niewielkiego miasteczka, która otrzymała konwencjonalne wykształcenie, a teraz szukała w życiu rozrywki i odrobiny szaleństwa. To wszystko zaś mógł zapewnić jej Jay. Nie była w nim zakochana, a to, co Jay wziął za przejaw uczuć, było zwy-

kłym podziwem oraz oczarowaniem trybem życia, o jakim zawsze marzyła. Abby była osobą na wskroś uczciwą, toteż Parker nie miał najmniejszych wątpliwości, że nie knuje ona żadnej intrygi, mającej na celu usidlenie jego brata. Dlatego też postanowił dać jej to, czego pragnęła, czyli kilka bajecznych dni na Karaibach, z dala od Jaya i od szarej rzeczywistości. Przez ten czas braciszek dojdzie do wniosku, iż tak naprawdę wcale nie jest zakochany i spokojnie wyjedzie do El Bahar. Ten doskonały plan sprawi, że wszyscy będą zadowoleni, a życie potoczy się swym zwykłym trybem.

- Do zachodu słońca pozostało jeszcze kilka godzin - powiedział, spoglądając na zegarek. - Chciałabyś może zobaczyć St. Thomas?

- O tak! - zawołała z entuzjazmem Abby. - Ale czy pan Ramsdell nie będzie się niecierpliwił?

- Zaraz zadzwonię i uprzedzę go, że się trochę spóźnimy.

- I nic się nie stanie? - zdziwiła się.

- Na takich wysepkach życie płynie dużo wolniej niż w wielkim mieście - zauważył, uśmiechając się lekko. Wystukał numer telefonu do rezydencji Kitta. - Mówi Parker Laird. Moja asystentka i ja właśnie wylądowaliśmy na St. Thomas.

- Witamy, panie Laird - dał się słyszeć dźwięczny męski głos. - Wszystko gotowe na państwa przybycie.

- Doskonale. Chcielibyśmy jeszcze obejrzeć St. Thomas, więc będziemy dopiero za kilka godzin. Do zobaczenia. -

Wyłączywszy telefon, podniósł wzrok na Abby. - Gotowa?

Na jej śliczną, twarzyczkę wypłynął tak promienny uśmiech, że Parker zrozumiał, dlaczego Jay uważał, iż jest w niej zakochany...

- Ojej, zapomniałam okularów przeciwsłonecznych - jęknęła, gdy znaleźli się na płycie lotniska.

- Nie ma problemu. Przypomnij mi to, zanim popłyniemy na Colombe, odwiedzimy centrum handlowe.

Wynajęli jeepa i zapakowawszy doń swoje bagaże, ruszyli wąską, krętą drogą wzdłuż wybrzeża wyspy. Abby raz po raz zachwycała się to bielutkim piaskiem, pokrywającym liczne plaże, to łagodnym powietrzem, to znów jakimś czarującym miejscem, które właśnie mijali. Parker tylko przytakiwał od czasu do czasu, ponieważ musiał skupić się na tym, by nie zapomnieć, że w tej części świata jeździ się lewą stroną drogi.

Żałował tylko, że nie będą mieli nawet chwili, aby ponurkować w okolicach malowniczej plaży Coki. Pewien był, że Abby byłaby tym zachwycona.

- Pamiętałaś o kostiumie kąpielowym? - zapytał w pewnej chwili.

- Uznałam, że nie będzie mi potrzebny.

- Co takiego? - zdumiał się. - Przyjechałaś na Karaiby bez kostiumu kąpielowego?

- Przecież jesteśmy tu służbowo - przypomniała.

- Ale nie będziemy pracować przez dwadzieścia cztery godziny na dobę - zauważył, zatrzymując się na poboczu, skąd rozciągał się przepiękny widok na zatokę, gdzie cumo-

wały imponujące statki wycieczkowe. - Jeśli chcesz, możemy wysiąść, żeby zrobić zdjęcie.

- Aparatu też nie wzięłam - wyznała po chwili wahania.

- W takim razie musimy coś z tym fantem zrobić - zdecydował, po czym zawrócił i skierował auto ku drodze prowadzącej do portu.

- Dokąd jedziemy? - zapytała zaskoczona.

- Po zakupy. Potrzebujesz kostiumu kąpielowego, aparatu fotograficznego i okularów. A kapelusz wzięłaś?

W milczeniu pokręciła głową.

- Nie martw się- pocieszył ją. - Kazałem ci się spieszyć, a nie jesteś przyzwyczajona do szybkiego pakowania walizek, tak jak ja.

- Tobie też przydałoby się trochę ubrań - zauważyła przekornie.

- O, nie, ja o niczym nie zapomniałem!

- Może i tak, ale ubrania, które wzięłaś, są nieodpowiednie.

- Nieodpowiednie? - oburzył się. - A co w nich złego?

- Rozejrzyj się. Czy widzisz tu kogoś w garniturze? Albo pod krawatem?

Prawdę mówiąc, niespecjalnie go obchodziło, czy inni nosili krawaty, czy nie, ale skoro miało to dla niej aż takie znaczenie, postanowił się podporządkować. Poluzował węzeł i zdjął krawat z szyi.

- Widzisz? - triumfowała. - Czy tak nie jest... Parker!

- Obejrzała się za siebie. - Twój krawat wisi na krzaku!

Było to zgodne z prawdą, ponieważ rzucił go na tylne siedzenie, zapomniawszy, że jeep, którym podróżowali, nie miał dachu.

- I tak nigdy go nie lubiłem - odparł nonszalanckim tonem, ale mina Abby mówiła, iż jest kiepskim aktorem.

Muszę popracować nad spontanicznością, postanowił w duchu. Na pewno można się jej nauczyć, jak zresztą wszystkiego na tym świecie.

Kilka minut później wjechali na ogromny parking przy nowoczesnym centrum handlowym.

- Powinniśmy tu znaleźć wszystko, czego potrzebujesz. Mamy mniej więcej godzinę, bo chciałbym, żebyśmy wsiedli na łódź, płynącą do Colombe, zanim odpłyną te duże liniowce - oznajmił Parker.

- Nie zdążymy - odparła Abby z powątpiewaniem.

- Zdążymy, jeśli będziemy się szybko przemieszczać. - Ujął ją za rękę i poczuł, jak natychmiast zeszywniała. - Nie chciałem zgubić cię w tym tłumie - wyjaśnił.

- Wobec tego prowadź - roześmiała się.

- A więc potrzebujesz kostiumu kąpielowego, o ile pamiętam.

- Tak, ale tylko pod warunkiem, że będziemy mieli kiedy pływać - zastrzegła.

Przed jego oczyma stanął obraz Abby w wysoko wyciętym kostiumie kąpielowym, który uwydatniał długość jej zgrabnych nóg.

- Już ja znajdę czas - obiecał.

Parker Laird trzyma mnie za rękę, powtarzała sobie w du-

chu Abby. Nie mogła ani na chwilę przestać o tym myśleć. Cóż za ironia, wyjechała w pierwszą w życiu egzotyczną podróż, wokół niej dzieje się tyle ciekawych rzeczy, a ona nie może się skupić na niczym innym, tylko na ciepłym dotyku jego dłoni!

Na myśl o tym, że troszczył się, by się gdzieś nie zawieruszyła, zrobiło jej się ciepło w okolicy serca. A kto dba o niego, przeszło jej przez myśl. Potrafiła podać tylko jedną osobę: Valerie. Była ona kimś więcej niż tylko asystentką, pełniła rolę matki. A teraz, gdy Valerie wyjechała, musiał sam o wszystko zadbać. Nic więc dziwnego, że był ostatnio wy-

kończony. Abby podjęła postanowienie, że od tej pory to ona będzie się troszczyć o niego.

- To tutaj - oznajmił Parker, stając przed wejściem do sklepu ze sprzętem do pływania.

- A czy ty wzięłaś kąpielówki? - zapytała, gdy już znaleźli się wewnątrz.

- Chyba tak.

- To znaczy tak, czy nie? - nie dała za wygraną.

- Jeśli zapomniałem, to Kitt na pewno coś mi pożyczy.

- Na wszelki wypadek powinieneś jednak coś sobie kupić - orzekła, kierując się w stronę stoiska ze strojami dla mężczyzn. - Bez dyskusji - dodała, widząc wyraz jego twarzy.

- Dobrze, proszę pani. - Uśmiechnął się wesoło.

Bardzo jej się podobało rządzenie nim, zwłaszcza iż robiła to dla jego własnego dobra.

- A skoro już o tym mowa, to sądzę, że powinieneś kupić sobie kilka mniej oficjalnych strojów.

- Na przykład coś takiego? - Z niewinną miną pokazał jej wiszący obok turkusowy krawat w różowe i jaskrawozielone muszelki.

- Myślałam, że masz trochę lepszy gust - roześmiała się.

- Do zobaczenia za kilka minut - dodała, po czym skierowała się w stronę stoiska z kostiumami kąpielowymi.

Kątem oka przypatrywała się jeszcze przez dłuższą chwilę Parkerowi, który posłusznie przeglądał wieszaki z męskimi strojami. Nie przypuszczała, że tak łatwo będzie nim kierować...

Niespodziewanie szybko udało jej się wybrać odpowiedni dla siebie kostium o kroju podkreślającym długość oraz smu-

kłość jej nóg, które to uważała za swój główny atut. Do tego dobrała również lekką narzutkę tego samego koloru, ponieważ zdążyła się już przekonać, jak palące były promienie słoneczne w tej strefie geograficznej.

- Umiesz nurkować? - spytał nagle nieznajomy mężczyzna, stając obok niej.

Zdezorientowana, wpatrywała się weń przez dłuższą chwilę, po czym ze zdumienia otworzyła szeroko usta.

- Parker, to ty? - wykrztusiła.

Z trudem mogła go rozpoznać w białych lnianych spodniach oraz kremowej koszulce z wyhaftowaną na piersi kolorową rybą.

- I jak? Ładnie, nieładnie? - dopytywał się, zadowolony z wrażenia, jakie na niej zrobił.

- Ładnie - oceniła, wciąż nie mogąc uwierzyć własnym oczom.

W efekcie opuścili sklep obładowani torbami pełnymi nowych nabytków. To się nazywa robić zakupy, pomyślała Abby, zakładając na nos okulary.

- To jest łódź Kitta - oznajmił Parker, gdy podjechali do nabrzeża. - Pełni rolę prywatnego promu.

Prywatny prom? Ciekawa była, co też jeszcze może należeć do człowieka, który jest na tyle bogaty, aby posiadać własną wyspę...

Natychmiast przy ich samochodzie pojawił się ubrany na biało mężczyzna, który pomógł jej wysiąść, drągi zaś zajęły się ich bagażami.

- Jak tak dalej pójdzie, niedługo będę całkiem rozpuszczona - zauważyła, kiedy już znaleźli się na pokładzie. - Nie, właściwie już jestem rozpuszczona - poprawiła się, gdy po-

dano jej wysoką szklanekę mrożonej herbaty w niespełna minutę po tym, jak o nią poprosiła.

Parker uśmiechnął się w zamyśleniu.

- Chcesz zejść pod pokład? - zapytał po chwili.

- I stracić taki fantastyczny widok? Nie ma mowy. Ty zresztą też powinieneś zostać - orzekła.

- A to dlaczego? - zainteresował się.

- Ponieważ spędzasz zbyt wiele czasu, wpatrując się w ekran komputera albo czytając te nudne raporty, które przepisują. Popatrz w tamtą stronę. - Ruchem głowy wskazała czerwieniejące słońce, wiszące nisko nad horyzontem.

- Pozwól swym oczom odpocząć.

- Czy wyglądają tak, jakby potrzebowały odpoczynku?
- Owszem - odparła bezceremonialnie.

Na jego twarzy pojawił się wyraz zaskoczenia, ale bez najmniejszego protestu skierował spojrzenie ku zachodzącemu słońcu.

Abby zawstydzila się, czując, że przekroczyła dozwolone granice.

- Przepraszam - wybąkała. - Nie powinnam...
- Nie, nie przepraszaj - przerwał jej. - Masz rację. Nie umiem się relaksować. Szczerze mówiąc, nie potrafię nic nie robić.

Przez dłuższy czas wpatrywał się prosto w jej oczy, co przypawiło Abby o gęsią skórę na plecach.

- Nie myśl o odpoczynku jak o marnowaniu czasu, ale odreagowywaniu stresów - poradziła. - To niesłuchanie ważna czynność.

- A jaka twórcza - prychnął, wzruszając ramionami. Trudno było nie zauważyć, jaki jest spięty. Abby przyła-

pała się na myśli, że chciałaby wymasować mu ramiona, tak jak to robił jej ojciec, gdy mamę bolały plecy po kilkugodzinnym ślęczeniu nad uczniowskimi wypracowaniami. Nie powinna tak myśleć, nie wolno jej dopuścić do tego, by w jej sercu narodziły się jakiegokolwiek uczucia wobec tego mężczyzny, który, bądź co bądź, był jej szefem...

- Widzisz te wysepki? - zapytał, wskazując szarozielone plamy na horyzoncie. - Zawsze próbuję je zidentyfikować i do szалу mnie doprowadza, że nie mogę sobie przypomnieć, która jest która. Zaraz przyniosę mapę. - Odwrócił się na

pięcie.

- O, nie, nigdzie nie pójdziesz - oznajmiła stanowczo, stając między nim a drzwiami, prowadzącymi pod pokład.

- Po co masz wiedzieć, jak się nazywają? Wystarczy, że są urocze.

- Ale ja lubię wiedzieć, na co patrzę - zaprotestował.

- Patrzysz na ocean, na lekko pieniające się fale, na porozrzucane gdzieś tam malownicze wysepki. Nie musisz wszystkiego wiedzieć, nie jesteś w pracy.

- Ale ja nic nie umiem poza pracą! - W jego głosie pobrzmiwała nuta desperacji. - Nie powinienem był w ogóle tu przyjeżdżać!

Abby była wstrząśnięta swą bezczelnością. Skąd jej przyszło do głowy, żeby zachowywać się tak bezceremonialnie i autorytarnie wobec swego szefa? Co ją obchodziło, jaki tryb życia prowadził, jakie nosił ubrania czy jakie miał podejście do pracy.

- Panie Laird... - zaczęła, rumieniając się. - Muszę pana przeprosić...

- „Panie Laird”? - powtórzył zaskoczony. - Abby...?

- Zachowałam się wysoce nieprofesjonalnie i mam nadzieję, że wybaczy mi pan moje niestosowne uwagi, składając je na karb braku doświadczenia - ciągnęła, uparcie unikając jego wzroku.

- Mówisz tak, jakbyś ostatnimi czasy czytała do poduszki wzory oficjalnych listów - zauważył, ujmując jej ramię. - Nie wiem, czemu sądzisz, że jesteś mi winna przeprosiny.

- Bo wydawałam ci rozkazy, nie mając do tego najmniej-

szego prawa...

- Masz do tego absolutne prawo - odparł, dotykając dłonią jej policzka. - Masz rozpaloną twarz. Zdenerwowałem cię...

Nie tylko rozpaloną, ale też czerwoną jak cegła, czego miała niemiłą świadomość...

- Jestem zły na siebie, a nie na ciebie - kontynuował.

- Chciałem posłuchać ciebie i cieszyć się pięknym widokiem, ale nie potrafię. Zapomniałem, jak się odpoczywa...

Czy sądzisz, że potrafiłabyś mnie tego od nowa nauczyć?

Jego prośbie towarzyszył błagalny uśmiech, któremu nie sposób było się oprzeć.

- Spróbuję, jeśli tylko będziemy mieli na to czas - odpowiedziała, odwzajemniając jego uśmiech.

- Na pewno będziemy - zapewnił. - Kapitan powiedział mi, że Kitta zatrzymały gdzieś sprawy służbowe i przez kilka dni będziemy zdani tylko na siebie.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Wyspa Colombe musiała być zaczarowana, skoro sprawiła, iż wiecznie zapracowany Parker Laird nie wpadł we wściekłość, wiedząc, iż spędzi kilka następnych dni bezczynnie. Tak przynajmniej uważała Abby, która natychmiast pokochała to miejsce całym sercem. Gdy tylko postawiła stopy na ciepłym jeszcze piasku nagrzanym przez słońce plaży, miała wrażenie, że oto znalazła się w zupełnie innym świecie, zaś zatłoczone, żyjące w nieustannym pośpiechu Houston leży na innej planecie. Tutaj, zamiast warkotu silników, do jej uszu dobiegał cichy, monotonny szum oceanu, zamiast zimnego światła ulicznych latarni drogę oświetlały ostatnie promienie zachodzącego słońca...

Dobry wieczór, panie Laird - uśmiechnął się ubrany na biało mężczyzna, stając w drzwiach dużego, a zarazem sprawiającego wrażenie lekkości domu. - Nazywam się Aldo i jestem ochmistrem pana Ramsdella - przedstawił się, chyląc przed nimi głowę. - Proszę za mną, zaprowadzę państwa do ich pokoi.

Abby westchnęła z ulgą, nie mogła się bowiem doczekać chwili, gdy przebierze się w coś bardziej odpowiedniego do panującego na Colombe klimatu niż jej granatowy kostium.

Podążyli za Aldo, który poprowadził ich na skos przez obszerne patio, otoczone białymi arkadami.

- Nigdy w życiu nie widziałam czegoś podobnego - westchnęła. - Dlaczego pan Ramsdell w ogóle stąd wyjeżdża?

- Po to, żeby nadzorować produkcję sprzętu wiertniczego, który ja od niego kupię, dzięki czemu będzie go stać, by utrzymać ten piękny dom - wyjaśnił Parker.

- A ty też masz gdzieś taki dom?

- Nie.

- A chciałbyś?

- Tylko dla siebie? Nie - odparł, potrząsając energicznie głową.

- W takim razie, dlaczego tak ciężko pracujesz?

Zatrzymał się przy bramie do ogrodu, poprzez który widać było plażę, i wpatrzył się w uderzające o brzeg fale.

- Pracuję, ponieważ tego się ode mnie oczekuje - odpowiedział po bardzo długiej chwili milczenia. - Po to, żeby raport, który co roku przedstawiam radzie nadzorczej, brzmiał optymistycznie i budująco. A także po to, aby zapewnić stanowisko ambitnym asystentkom - dodał z uśmiechem.

A co on sam miał z tego, że tak ciężko pracował? Oprócz pieniędzy, rzecz jasna, choć i nimi nie miał czasu się cieszyć. Owszem, Abby też się nie oszczędzała, ale miała przed sobą konkretny cel - zdobycie cenionej pozycji wśród asystentek dyrektorów liczących się w Houston firm.

Gdy stanęła w drzwiach swej sypialni, aż klasnęła w ręce z zachwytu.

- Jak tu ślicznie! - zawołała, wpatrując się w szerokie łóżce z baldachimem. - Och, wyobraź sobie, jak byłoby cudownie wyjść na taras, przejść kilka kroków i zanurzyć stopy w jeszcze ciepłym od słońca piasku...

- To doskonały pomysł - stwierdził Parker, wpatrując się w nią intensywnie. - Zaraz do ciebie dołączę.

- Czy mam powiedzieć kucharzowi, aby podał kolację za godzinę? - zapytał Aldo.

- Tak, bardzo prosimy - odparł, nie odrywając spojrzenia od Abby, której nogi niebezpiecznie zaczęły drżeć.

Gdy została sama w swym pokoju, szybko przebrała się w szorty oraz lekką bawełnianą bluzeczkę, żałując przy tym, że nie przywiozła jakiejś powiewnej i przejrzystej sukni, która byłaby zdecydowanie bardziej odpowiednia na tę okazję. Boso wyszła na taras, gdzie czekał już na nią Parker. Wyciągnął ku niej rękę, a ona podała mu dłoń i tak powędrowali razem piaszczystymi schodkami ku plaży. Oczywiście zdawała sobie sprawę, iż Parker trzymają za rękę tylko dlatego, by się nie pośliznęła na stopniu i nie upadła, ale księżycowa poświata nastrojała ją do snucia fantazji, toteż postanowiła choćby przez chwilę udawać, że to z zupełnie innego powodu...

- Tak tu pięknie - wyszeptwała, gdy stanęli już na plaży.

- Piasek jest taki biały, zupełnie inny niż w Galveston. Cieszę się, że pan Ramsdell się spóźnia. Czy to nie okropne z mojej strony? - zapytała wstydliwie.

- Nie - roześmiał się cicho. - Ja czuję dokładnie to samo.

- Naprawdę? - Nie mogła uwierzyć. Sądziła, że będzie z tego powodu co najmniej niezadowolony. .

- Dzięki temu mam przynajmniej okazję pobyć z tobą sam na sam - zauważył, przysuwając się do niej o krok.

Nie była pewna, czy naprawdę to usłyszała, czy tylko podsunęła jej to bujna wyobraźnia.

- Rzadko mogę pokazać się gdziekolwiek z kobietą, by

od razu nie opadła nas sfera fotoreporterów - wyjaśnił. - Tutaj ten problem w ogóle nie istnieje.

Nie śmiała nawet marzyć o tym, że Parker Laird mógłby zwrócić na nią uwagę, zainteresować się nią, jednak ton jego głosu mówił, że jej skryte pragnienie spełniło się. Jej serce zaczęło bić jak szalone.

- Och, Parker... - zdołała wykrztusić.

Podniósł jej dłoń do ust i delikatnie ją ucałował.

- Przejdźmy się - zaproponował. - Chciałbym dowiedzieć się wszystkiego o tobie.

Była to typowa dla niego wypowiedź, dlatego Abby uśmiechnęła się lekko. Zauważyła już, że zawsze lubił być dobrze poinformowany.

- Wydawało mi się, że po naszej rozmowie na pokładzie samolotu wiesz już wszystko - zauważyła.

- Dowiedziałem się, jaka byłaś w przeszłości, a jeszcze chciałbym wiedzieć, kim jesteś teraz i kim chciałabyś być w przyszłości.

- Och, wydaje mi się, że to też już wiesz. Moim marzeniem jest zostać asystentką, dlatego tak się ucieszyłam, mogąc zastępować Valerie.

- Dobrze, ale powiedz, co robisz, gdy masz wolny czas? - dopytywał się.

- Szczerze mówiąc, właściwie go nie mam, bo gdy nie pracuję, uczę się - przyznała.

- Uważaj, bo jeszcze trochę, a skończysz jak ja - roześmiał się.

- Nie szkodzi. Zupełnie nie jesteś taki, jak mówią ludzie. Jego oczy na moment pociemniały, a przynajmniej tak zdało się Abby.

- Właśnie, że jestem - odparł cicho.

- Nieprawda. - Zatrzymała się i skierowała na niego spojrzenie. - Owszem, jesteś perfekcjonistą, ale nie jesteś chłodny i wyrachowany.

Otworzył usta, jak gdyby chciał coś na to odpowiedzieć, ale szybko je zamknął i pochylił się, by podnieść kawałek białego koralowca.

- Sądziłem, że mówi się o mnie dużo gorsze rzeczy - zauważył po chwili milczenia.

- Może i tak, ale nikt nie zna cię od tej strony, którą ja miałam okazję zobaczyć.

- Abby... Powinnaś wierzyć w to, co mówią o mnie ludzie.

- Nie. - Pokręciła energicznie głową. - Jesteś dobrym człowiekiem, troszczysz się o innych...

- Nigdy nie jestem dobry, chyba że istnieje ku temu jakiś wyraźny powód - odparł, patrząc jej prosto w oczy. - Powinnaś o tym pamiętać.

- Ależ, co ty mówisz! - zachnęła się. - Nie powinieneś myśleć o sobie w ten sposób. Sądzisz, że się nie domyślam, że dowiedziawszy się o opóźnieniu pana Ramsdella, chciałeś wskoczyć z powrotem do samolotu i wrócić do Houston? Ale tego nie zrobiłeś, bo wiedziałeś, że czułabym się rozczarowana, prawda?

Nie odpowiadał, tylko przyglądał jej się szeroko otwartymi oczyma.

- Prawda? - powtórzyła.

- Tak-mruknął.

- I zatroszczyłeś się, żebym miała kostium kąpielowy i...

- Przestań!- przerwał jej.

- Nie martw się, nie powiem nikomu, że masz taką słabość
- zażartowała, po czym przeciągnęła lekko dłonią po jego ramieniu.

- Abby... - wykrztusił z trudem, chwytając ją oburącz za ramiona. - Abby...

W następnej chwili jego usta znalazły jej wargi. Ku swemu zdumieniu, zamiast zaprotestować, poddała się pieszczocie, odwzajemniając jego pocałunki. Widocznie magia zaklętej wyspy wzięła w swe władanie także i ich...

- Nie powinienem... - wyszeptał Parker, podnosząc głowę.

- Ćśś. - Położyła palec na jego ustach. - Oczywiście, że powinienś - odparła cicho, przyciągając go ponownie do siebie.

W jego pocałunkach wyczuwała ogromne pragnienie, nie tylko w sensie fizycznym, ale także uczuciowym. Parker potrzebował jej troski, ciepła, czułości, tego wszystkiego, co kochająca kobieta może ofiarować swemu mężczyźnie. Kochająca. .. Bowiem tej księżycowej nocy na Karaibach Abby uświadomiła sobie, że w głębi serca kocha Parkera, że całą sobą pragnie jego szczęścia... Miała ochotę wyszeptać mu do ucha to słodkie wyznanie, ale wiedziała, iż przyjdzie jeszcze na to odpowiednia pora.

Nie powinienem był jej całować, wyrzucał sobie Parker. Jak to się stało, że pozwolił, aby zawładnęły nim emocje? Przecież od dawna wyznawał zasadę, że ci, którzy kierują się uczuciami, sami proszą się o kłopoty! Doskonałym tego przykładem był Jay, choć musiał przyznać, że teraz miał więcej zrozumienia dla postępowania swego brata niż do tej

pory.

Pożegnawszy się z Abby, zadzwonił do swego gabinetu, gdzie czekało nań siedemnaście wiadomości, nagranych przez Jaya na automatycznej sekretarce. Niewątpliwie taśma w telefonie Abby zawierała podobną liczbę nagrań. Cała nadzieja w tym, że jeśli braciszek nie zdołał się dowiedzieć, gdzie się podziiali, poszedł na zaplanowane na ten wieczór przyjęcie i szybko znalazł kolejny obiekt westchnień. Teraz pozostawało Parkerowi dopilnować, by Abby nie miała czasu na myślenie o Jayu.

Następnego ranka Abby obudziła się z przekonaniem, iż czułe, delikatne pocałunki Parkera i długi spacer po tonącej w księżycowej poświacie plaży, były tylko pięknym, acz nie-realnym snem. Leżąc w szerokim, wygodnym łożu, powoli przypominała sobie wydarzenia poprzedniego wieczoru, aż wreszcie doszła do wniosku, że wszystko to miało faktycznie miejsce. Na to wspomnienie uśmiechnęła się lekko. Kobięca intuicja podpowiadała jej,- że tego ranka Parker może z obawy przed odrzuceniem chcieć udawać twardego biznesmena, postanowiła więc, że za wszelką cenę mu na to nie pozwoli.

Ubrała się, nucać jakąś wesołą melodię, i już miała wychodzić na śniadanie, gdy dało się słyszeć ciche pukanie do drzwi.

- Gotowa na śniadanie? - zapytał Parker, gdy otworzyła.
- Właśnie wybierałam się do jadalni, by poszukać czegoś do jedzenia - odparła, próbując po wyrazie jego twarzy odgadnąć, jaką strategię obrał.

- Niestety, tam śniadania nie znajdziesz. - Na jego usta wypłynął ciepły uśmiech. - Chodź, zobacz.

Ująwszy ją za rękę, wyprowadził na patio, skąd widać

było ustawiony na plaży stół, ocieniony kolorowym parasolem.

- Śniadanie na plaży? - zapytała, spoglądając mu w oczy.

- Owszem. - Skinął głową. - Z tym miejscem wiążą się pewne miłe wspomnienia.

Podczas posiłku Parker obsługiwał ją osobiście, jak gdyby chciał dać jej w ten sposób do zrozumienia, iż jej osoba jest dla niego niesłychanie ważna. Podobnie przez cały dzień miała wrażenie, że nie ma dlań nic bardziej istotnego, że żaden, nawet najpilniejszy telefon z biura nie byłby dla niego wart zostawienia jej choćby na chwilę samej. Rzecz jasna, szalenie jej to pochlebiało, tylko od czasu do czasu myślała ze smutkiem, co będzie, gdy wróci pan Ramsdell i ten czuły, troskliwy Parker ustąpi miejsca wiecznie zajętemu dyrektorowi wielkiej firmy...

- Czy chciałabyś obejrzeć dziś miasteczko, które leży po przeciwnej stronie wyspy? - zapytał następnego dnia po śniadaniu.

- Bardzo, ale czy możemy sobie na to pozwolić? - odparła Abby, która była przekonana, iż będzie chciał tego dnia popracować.

- Oczywiście, jeżeli tylko masz ochotę.

- A kiedy zjawi się pan Ramsdell? - odważyła się wreszcie spytać.

- Jutro albo pojutrze. Nie jestem pewien. - Parker uśmiechnął się znad swojej szklanki soku pomarańczowego.

- Nie jesteś pewien? Czy ja aby na pewno mam do czynienia z tym samym człowiekiem, który planuje swój dzień co do kwadransa?

- Och, tutaj rozkład dnia nie ma najmniejszego znaczenia. - Wyraz jego oczu powiedział, co, a raczej kto, jest dlań naprawdę istotny...

Odbyli więc długi spacer wąskimi, krętymi uliczkami miasteczka, podziwiając pastelowe kamieniczki, których fasady zdobiły przepiękne sztukaterie. Siedzieli właśnie przy stoliku, ustawionym na zewnątrz jednej z wielu umiejscowionych przy głównej ulicy kawiarenek, gdy dobiegł ich dźwięk dzwonów. Abby rozejrzała się wokoło w poszukiwaniu kościoła, ale nie mogła się go nigdzie dopatrzeć.

To tam, na szczycie wzgórza - poinformowała ich kelnerka. - Kiedyś służył piratom za punkt obserwacyjny, a potem przejęły go francuskie zakonnice, które przyjechały tu na misje.

Po skończonym posiłku powędrowali wąską, stromą ścieżką, która prowadziła do kamiennej wieżyczki. Tam, na dziedzińcu kościelnym, miało się wrażenie, że jest to najspokojniejsze miejsce na całej ziemi. Usiedli na granitowej ławeczce i w milczeniu wpatrywali się w błękitną toń oceanu, usianą gdzieniegdzie szarozielonymi plamami wysepek. Abby oddałaby wszystko, gdyby mogła w tej chwili zatrzymać czas, zdawała sobie bowiem sprawę, iż wkrótce wszystko się zmieni, że będą zmuszeni powrócić do rzeczywistości...

- Wiem, niedługo będziemy musieli wyjechać - powie-

działa, widząc, iż Parker otwiera usta.

- Niekoniecznie.

- Ale przecież nie możemy zostać tu do końca życia.

Nawet jeśli pan Ramsdell się nie zjawi, to i tak musimy jutro wrócić do Houston.

- A skąd ci to przyszło do głowy? - zainteresował się.

- Bo Jay wylatuje we wtorek do El Bahar. Musimy wrócić przed jego wyjazdem, prawda? - Spojrzała na niego smutnym wzrokiem.

- A ty chcesz się z nim pożegnać, tak? - W jego głosie zabrzmiała ostra nuta.

- Oczywiście - odparła zdumiona. - A ty nie?

- Możemy do niego zatelefonować.

- Parker? Nie możesz mu tego zrobić!

W odpowiedzi posłał jej chłodne spojrzenie, po czym wstał i wsunął dłonie do kieszeni. Abby również podniosła się i żeby rozprostować nogi, ruszyła powoli w kierunku kościoła.

- Zdajesz sobie chyba sprawę, że gdy wrócimy, nie będzie już tak, jak dotąd... - stwierdził Parker, idąc za nią.

- Wiem - wykrztusiła.

Chciał jej przez to powiedzieć, że to, co wydarzyło się między nimi tu, na wyspie, pozostanie tylko przelotnym romansem. Cóż, przecież wiedziała o tym od samego początku... Mimo to w jej oczach pojawiły się łzy i chcąc je ukryć, weszła do kościoła. Parker podążył za nią.

- Płaczesz? - wyszeptał, stanąwszy u jej boku.

- Miałam nadzieję, że tego nie zauważysz.

- Ale zauważyłem. - Delikatnym ruchem uniósł jej brodę, tak by móc zajrzeć jej prosto w oczy. - Powiedz, czemu jesteś nieszczęśliwa?

- Ponieważ nie chcę, żeby to wszystko się skończyło - wyznała drżącym głosem.

- W takim razie wyjdź za mnie - poprosił, nie odrywając od niej ciepłego spojrzenia.

- Co takiego? - Nie wierzyła własnym uszom.

- Wyjdź za mnie. Tutaj i teraz, zanim codzienność zdoła nas rozdzielić. Nie chcę być już tym, kim byłem, zanim poznałem ciebie. Potrzebuję cię, Abby, bez ciebie moje życie jest bezbarwne i puste...

Była tak wzruszona jego wyznaniem, iż nie mogła wykrztusić ani słowa.

- Proszę, wyjdź za mnie. - Nie ustępował. - Teraz. Moglibyśmy oczywiście poczekać, wszystko zaplanować, ale to nie byłoby to samo.

- Wiem, ale moja rodzina...

- Zdaję sobie sprawę, że proszę cię o wiele - westchnął, biorąc ją w ramiona. - Ale chciałbym, żebyśmy przeżyli tę chwilę tylko we dwoje. Będziemy wspominać ją do końca życia...

- Ależ, Parker, przecież nie mogę wyjść za ciebie w spodenkach - wykrztusiła oszołomiona.

- Nie martw się, kupimy ci suknię. - Pocałował ją lekko w skroń. - I kwiaty. I obrączkę...

Nie oponowała, bo choć wiedziała, iż jej rodzice pragnęli-by uczestniczyć w jej zaślubinach, wierzyła, że rozumieją,

dla czego ceremonia odbyła się na Colombo.

Parker odnalazł księdza i wypełniwszy wszelkie formalności, umówił się z nim, że powrócą tu o zachodzie słońca. Następnie zeszli z góry i rozstali się przed wejściem do małego sklepu z ubraniami, gdzie Abby miała nadzieję kupić odpowiednią suknię. Nie znalazła jednak nic ciekawego, a przynajmniej nic, co elegancją przewyższałoby pewną srebrzystobłękitną sukienkę, którą na wszelki wypadek zapakowała do torby, wyjeżdżając w pośpiechu z Houston. Dlatego zadzwoniła do Aldo z prośbą, by przywiózł jej tę suknię

wraz z owymi ślicznymi sandałkami, zaś właścicielka sklepu pomogła jej wybrać białą koronkową mantyle, którą mogła nakryć głowę i ramiona. Nie minęło pół godziny, gdy w sklepie zjawił się ochmistrz Kitta Ramsdella z sukienką, tak więc mogła się od razu przebrać.

- Wyglądasz prześlicznie - wyszeptał Parker, pomagając jej wsiąść do samochodu, po czym podał jej ogromny bukiet z białych róż oraz hibiskusa. - Mam nadzieję, że się nie rozmyśliłaś.

- Nie ma mowy - odparła stanowczo, ponieważ wiedziała już, że postąpiła słusznie, zgadzając się na ten ślub. Owszem, wszystko to nastąpiło nieoczekiwanie, ale w głębi serca pragnęła zostać żoną Parkera odkąd tylko znaleźli się na Colombo.

Tak więc dokładnie o zachodzie słońca złożyli sobie przysięgę małżeńską, ofiarowując się sobie nawzajem.

Gdy powrócili do posiadłości Kitta Ramsdella, Aldo powitał ich uroczyście.

- Proszę przyjąć nasze najserdeczniejsze gratulacje. - Pochylił głowę z szacunkiem. - Pozwoliłem sobie przenieść rzeczy pani Laird do pańskiej sypialni - zwrócił się do Parkera.

Pani Laird... Oszołomiona Abby spojrzała na złotą obrączkę, która lśniła na jej serdecznym palcu.

- Czekają też tam na państwa kolacja - dodał ochmistrz.

- Czyżbyś już zaczęła żałować? - zapytał Parker, gdy zostali sami.

- Nie, tylko... Co wszyscy na to powiedzą? - Spojrzała na niego zalęknionym wzrokiem.

- Mam nadzieję, że nam pogratulują - odparł, prowadząc ją do swej sypialni.

- Wiesz, o co mi chodzi.

- Nie wolno ci się dzisiaj nad tym zastanawiać. - Położył jej palec na ustach. - Jestem twoim mężem, powinnaś być mi posłuszna.

- O, przepraszam, ślubowałam ci miłość, wierność i uczciwość małżeńską. Nie było ani słowa o posłuszeństwie - zaprotestowała ze śmiechem.

Dotarli właśnie do pokoju Parkera. Przez otwarte drzwi dostrzegli elegancko zastawiony stół oraz płonące na nim świece. Abby już miała przestąpić próg, gdy Parker porwał ją na ręce i wniósł do środka.

- Ojej, ten pokój jest większy od całego mojego mieszkania w Houston - zawołała. - Parker, przecież ja nawet nie wiem, gdzie będę teraz mieszkać!

- Nie myśl o tym dzisiaj. - Postawił ją na podłodze. - Ten wieczór jest tylko dla nas. - Pocałował ją z taką czuło-

ścią, że aż zakręciło jej się w głowie.

Podczas gdy Parker zajęty był otwieraniem przygotowanej przez Aldo butelki szampana, Abby rozglądała się po ich wspólnym od tej pory pokoju. Jej spojrzenie padło na leżącą na brzegu szerokiego łóża białą szyfonową koszulkę nocną, którą kupiła tego popołudnia. W tym momencie dotarło do niej znaczenie kroku, jaki podjęła tego dnia. Była oto żoną najwspanialszego mężczyzny, jakiego spotkała w swym życiu, a zarazem mężczyzny, który jeszcze kilka dni temu nie wiedział o jej istnieniu...

- Abby? - Parker wręczył jej smukły kieliszek, pełen musującego napoju.

Odwróciła się ku niemu, z trudem przywołując na twarz uśmiech.

- Czy powinnam się przebrać? - zapytała cicho.

Parker przyjrzał jej się badawczo, po czym odstawił kieliszek na bok i ujął jej dłonie w swe ręce.

- Kochanie, jesteś piękną, atrakcyjną kobietą i bardzo chciałbym się z tobą kochać, ale zdaję sobie sprawę, że wydarzenia potoczyły się niesłychanie szybko, więc nie zamierzam robić niczego, co mogłoby sprawić ci przykrość.

Pochyliwszy się, pocałował ją delikatnie w ramię. Zamknęła oczy. Czowała, jak jego usta wędrują wzdłuż jej szyi, przyprowadzając ją o przyjemny dreszczyk.

- Abby - wyszeptał wprost do jej ucha.

- Może jednak powinnam się teraz przebrać - odpowie-

działa drżącym głosem.

- Czy oznacza to, że chcesz się dziś kochać?
- Och, tak... - Podniosła głowę, by go pocałować.
- W takim razie dopilnuję, żebyś mogła włożyć swą piękną koszulkę dopiero rano - rozeźmiał się, rozsuwając zamek jej sukienki.

RS

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Nie mam pojęcia, po co wydałam tyle pieniędzy na tę koszulkę, skoro do tej pory nie dałeś mi jej włożyć - poskar-

żyła się Abby, podnosząc z podłogi zwój białego szyfonu.

- Możesz zrobić to teraz - zauważył jej mąż, opierając się na łokciu.

- Akurat, jak cię znam, zaraz byś mi ją znowu zdjął.

Parker wyciągnął ku niej ramiona i w następnej chwili już leżała obok niego.

- Masz rację - przyznał, całując jej plecy.

- Parker, musimy wreszcie wstać - westchnęła. - Już minęło południe, a myśmy nawet nie jedli śniadania.

Rzeczywiście - mruknął. - Cała służba pewnie obstawia zakłady, kiedy wreszcie wyjdziemy z sypialni.

Widząc jej przerażoną minę, roześmiał się wesoło.

- Ależ ja lubię się z tobą przekomarzać - przyznał. - Zadzwońię do Aldo i poproszę, żeby przyniósł nam tu śniadanie.

- Tutaj? - jęknęła Abby, przykrywając się po samą szyję.

- A czemu by nie?

- No, wiesz... - wybąkała, spoglądając to na niego, to na zmiętą pościel na łóżku.

- Coś mówiłaś? - Parker udawał, że nie rozumie.

- Nic - mruknęła, po czym pokazała mu język.

- No dobrze - westchnął. - Ubierzemy się i zjemy w jadalni.

To powiedziawszy, bez jakiegokolwiek skrupowania wstał z łóżka i nago powędrował do łazienki.

Abby wciąż nie mogła uwierzyć we własne szczęście ani też w to, że jest żoną tego oto wspaniałego mężczyzny.

- Hej - zawołał jej mąż z łazienki. - Ta wanna jest chyba dwuosobowa!

Chwilę później, pojawił się w drzwiach i skinął na nią

palcem.

W efekcie zjedli wyjątkowo późne śniadanie dopiero o wpół do trzeciej. Abby starannie unikała wzroku ochmi-strza, co wprawilo Parkera w niesłychane rozbawienie.

Wylegiwali się właśnie na plaży, gdy od strony domu dobiegły ich podniesione męskie głosy.

- Gdzie oni są?! - krzyknął ktoś.

- Panie Laird! - zawołał wyraźnie zdenerwowany Aldo. Spojrzeli na siebie zaniepokojeni, po czym Parker podniósł się i ruszył w kierunku domu.

- Parker! Gdzie jest Abby? Co z nią zrobiłeś?

- Jay? Parker, czy to Jay? - Abby wstała z leżaka.

Na widok zbliżającego się Jaya uśmiechnęła się radośnie, lecz gdy napotkała pociemniały wzrok swego męża, jej twarz natychmiast nabrała poważnego wyrazu. Parker był wyraźnie niezadowolony z wizyty brata.

- Abby! - zawołał Jay i rzucił się ku niej biegiem. - Och, Abby, jakże ja za tobą tęskniłem! - Chwycił ją w objęcia.

Jego dziwaczne zachowanie wprawilo ją w niepomierne zdumienie.

- Wszystko w porządku? - zapytał Jay.

- Oczywiście, że tak - roześmiała się. - A nawet jeszcze lepiej.

- Co ty tu robisz? - warknął Parker.

- Mógłbym ci zadać to samo pytanie - odparł jego brat.

- Dlaczego nie odpowiadałeś na moje telefony?

- Nie odpowiadałem na żadne telefony.

Abby spoglądała to na jednego, to na drugiego, nie bardzo rozumiejąc, skąd między nimi ta wrogość.

- Pan Ramsdell opóźnił swój przyjazd, więc czekamy na niego - wyjaśniła.

- Chcesz powiedzieć, że siedzicie tu od piątku, nie robiąc kompletnie nic? - osłupiał Jay. - Nawet nie dałeś mi szansy porozmawiać z Abby - zwrócił się do brata.

- Wrócilibyśmy przed twoim wyjazdem - zapewniła Abby, czuła się bowiem winna, iż nie zdążyła pogratulować mu doskonałego wystąpienia podczas zebrania rady nadzorczej.

- Czyżby? - prychnął Jay. - Powiedz mi, Parker, przywiózłbyś Abby przed moim odlotem do El Bahar?

- Owszem...

I tak ci nie wierzę! Widzisz, rozmawiałem z Kittem Ramsdellem. Twierdzi, że już dawno podpisaliście umowę na ten sprzęt.

Abby zauważyła zaniepokojone spojrzenie, jakie rzucił jej Parker, domyśliła się więc, że Jay właśnie powiedział coś szalenie istotnego, jednak wciąż nic z tego" nie rozumiała.

- Nie martw się, nie zdradził mi, gdzie jesteście - dodał drwiąco. - Sam odgadłem.

- Daj spokój, Jay - zachnęła się Abby. - Mówisz tak, jakbyśmy się przed tobą chowali.

- Bo to prawda!

Była coraz bardziej zirytowana faktem, że Jay nie dopuszcza brata do głosu. Gdyby pozwolił, Parker na pewno szybko wyjaśniłby to nieporozumienie.

- Nawet ja mam prawo do kilkudniowego urlopu - odezwał się wreszcie Parker.

- Akurat! - warknął Jay. - Po prostu trzymasz ją z daleka ode mnie. Posłuchaj, muszę ci coś powiedzieć - zwrócił się do Abby. - Chciałem z tobą porozmawiać jeszcze przed tym zebraniem, ale Parker przekonał mnie, żebym zrobił to później. Tyle że później ciebie już nie było.

- Jay, przestań. Od tego czasu zaszły pewne istotne zmiany - wtrącił się Parker, obejmując Abby.

- Coś ty jej zrobił? - syknął jego brat.

- Ależ nic - odparła, zastanawiając się, kiedy Parker wreszcie powie mu o ślubie.

- Abby jest moją żoną - oznajmił Parker.

Jay w milczeniu przyjrzał się jej prawej dłoni, na której lśniła nowiuteńka obrączka.

- Ożeniłeś się z nią? - wycodził.

Owszem, spodziewała się zaskoczenia, ale nie wściekłości, jaka pojawiła się w oczach Jaya. Ułamek sekundy później jego pięść wylądowała na szczęce Parkera. Abby krzyknęła z przerażeniem.

- Jay! Przestań! - zawołała, próbując go powstrzymać przed następnym ciosem.

- Zdenerwowałeś Abby! - syknął, wyraźnie wytrącony z równowagi Parker.

- Chyba nie spodziewacie się, że złożę wam gratulacje - stwierdził Jay z drwiną w głosie.

Abby z trudem powstrzymała napływające do oczu łzy.

- Dla swojej firmy zrobiłbyś wszystko, prawda, Parker?

- ciągnął Jay. -I nic cię nie obchodzi, że ktoś może na tym ucierpieć.

Parker zerknął na Abby, po czym przeniósł wzrok na brata.

- Przestań - poprosił.

- A więc, kiedy wzięliście ślub?

- Wczoraj o zachodzie słońca - odparła cicho Abby.

- Aha, czyli już jest po nocy poślubnej.

Jego intensywne spojrzenie sprawiło, że na policzki Abby wystąpił rumieniec.

- Przestań, Jay - jęknęła. - Czemu jesteś taki okropny?

Nie możesz po prostu cieszyć się moim szczęściem?

- Szczęściem? - powtórzył. - Och, Abby! - Skierował pełne bólu spojrzenie na swego brata. - Była taka słodka i niewinna, a ty to wszystko zniszczyłeś! W imię czego? Firmy?

- Abby, idź, proszę, do domu - powiedział cicho Parker.

- Nie, zostań, jeśli chcesz usłyszeć, jak to Parker ożenił się z tobą, chcąc utrzymać cię z dala ode mnie!

- Co ty opowiadasz, Jay? - roześmiała się.

- Nie wierzysz mi? W takim razie zapytaj go, dlaczego tak mu się spieszyło na Karaiby? I dlaczego siedzieliście tutaj pod nieobecność gospodarza?

- Pan Ramsdell został zatrzymany przez jakieś ważne sprawy, więc czekaliśmy...

- Nie, Abby. On się tu w ogóle nie wybierał. Mam rację, Parker?

Abby popatrzyła z niepokojem na Parkera, który w tej chwili w niczym nie przypominał mężczyzny, którego poślubiła poprzedniego dnia. Jego oczy niebezpiecznie pociemniały, zaś twarz przybrała kamienny wyraz.

- Abby - ciągnął Jay łagodnym już głosem. - W piątek

rano powiedziałem Parkerowi, co do ciebie czuję. - Chwył jej rękę, a ona błyskawicznie ją wyszarpnęła z jego uścisku. - Powiedziałem, że potrzebuję czasu, by móc cię lepiej poznać. Między nami było coś wyjątkowego, więc nie mogłem zostawić cię i wyjechać do El Bahar.

- Och, nie... - wyszeptała zrozpaczona.

- Chciałem powtórzyć to na zebraniu rady, ale Parker poradził, żebym jeszcze trochę poczekał. Niestety, później już nie mogłem cię odnaleźć. Pewnie myślałeś, że co z oczu, to i z serca, prawda, braciszku?

Dlaczego Parker temu wszystkiemu nie zaprzeczy, zastanawiała się gorączkowo Abby. Przecież Jay opowiadał jakąś niestworzoną historię. Powiedz, że to nieprawda, błagała w myślach. Tymczasem Parker milczał. Wbrew swojej woli, Abby zaczęła odtwarzać w myśli wydarzenia piątkowego popołudnia. Faktycznie, ten pośpiech, z jakim wylecieli z Houston, wydał jej się dziwny... W dodatku nie mogła zrozumieć, dlaczego nie dano jej nawet chwili, by mogła porozmawiać z Jayem i pogratulować mu udanego wystąpienia.

- Ani ty nie kochasz Abby, ani ona ciebie - odezwał się wreszcie Parker.

- Za to ty ją kochasz, tak? - ironizował Jay.

- Jesteśmy małżeństwem...

- I oczekujesz, że wobec tego polecę grzecznie do El Bahar i na tym sprawa się skończy? Twoje niedoczekanie!

- Jay! Nie zmarnuj takiej okazji tylko dlatego, że chcesz się na mnie odegrać. Kiedy trochę ochłoniesz, zrozumiesz, że wyświadczyłem ci przysługę.

Przysługę? Abby poczuła się tak, jak gdyby wymierzono

jej policzek. Nie uszło jej uwagi, że milczący do tej pory Parker odezwał się dopiero wtedy, gdy zagrożona została przyszłość jego firmy... Nic, co powiedział do tej pory Jay, nie przekonało jej, że mówi prawdę, lepiej niż wypowiedziane właśnie przez Parkera słowa.

- Wyobraź sobie, że nie chcę dla ciebie pracować - warknął Jay. - Założę własną firmę, będę z tobą rywalizować, a kiedy powiem twoim klientom, co zrobiłeś, wszyscy przejdą do mnie!

- A więc ożeniłeś się ze mną tylko po to, żeby Jay wyjechał do El Bahar? - wtrąciła się Abby, nie mogąc już dłużej wytrzymać tego napięcia.

- Nareszcie to zrozumiałaś - ucieszył się Jay. - Mam nadzieję, kochanie, że podpisałaś intercyzę.

- Nie - odpowiedział za nią Parker.

- O, braciszku, a to się przejechałeś! Dobra wiadomość, Abby, powinnaś dostać po rozwodzie kilka milionów dolarów. Jeśli chcesz, z radością pomogę ci go oskubać.

Słyszając to, Abby wybuchła rozpaczliwym płaczem.

- Widzisz, co zrobiłeś?! - krzyknął Parker.

- Ja? To tyją uwiodłeś...

- Przestańcie! - zawołała, zatykając dłońmi uszy. - Natychmiast przestańcie!

Obaj bracia patrzyli na nią w osłupieniu.

- Czy to, co powiedział Jay jest prawdą? - zwróciła się do Parkera. - Czy przywiozłeś mnie tu, aby ukryć mnie przed

nim?

- Tak - odpowiedział krótko.

Tym jednym słowem przekreślił jej wszystkie nadzieje, raniąc ją do żywego. Jakże mogła być tak głupia i naiwna, by wierzyć, że to wszystko było szczere i prawdziwe? Parker okłamał ją z pełną premedytacją. Przecież była tylko prostą dziewczyną z prowincji, która stanęła na drodze do wielkiej inwestycji. Ale jak mógł posunąć się aż tak daleko?

- Nie! - jęknęła, osuwając się na piasek.

- Abby, Abby... - szeptał czyjś głos, a silne ramiona otoczyły ją i mocno przytuliły.

Nie należały one, niestety, do Parkera, więc Abby zaczęła szlochać jeszcze bardziej rozpaczliwie.

- Ćśś. Zapłaci za to, co ci zrobił.

- Myślałam... że... mnie... kocha! - wykrztusiła.

Ale przecież ani razu jej tego nie powiedział..

Przywarła z całej siły do Jaya, nie próbując nawet ocalić resztki godności.

- Abby...

- Trzymaj się z dala od niej! - krzyknął Jay, przytulając ją jeszcze mocniej.

- Dobrze - odparł cicho Parker. - Nie musisz odchodzić z firmy. Ja pojedę do El Bahar.

- Co takiego?

Abby na moment przestała płakać.

- Chciałeś móc udowodnić, że jesteś odpowiedzialny.

Proszę bardzo, od tej chwili ty zarządzasz firmą. - Parker przeniósł pociemniałe spojrzenie na Abby. - Przepraszam, nie chciałem cię zranić. Zaraz poproszę moich prawników, żeby przygotowali papiery rozwodowe. Nie martw się, zała-

twią to na tyle dyskretnie, że nikt się nie dowie o naszym małżeństwie.

- I sądzisz, że to wystarczy? - zapytała z drwiną w głosie.

- Nie, ale tylko tyle mogę zrobić. Jay na pewno jakoś cię pocieszy.

To powiedziawszy, odwrócił się i poszedł do domu, ani razu nie spojrzawszy za siebie.

El Bahar, osiem miesięcy później.

Parker nie mył się już niemal od tygodnia, podobnie zresztą jak wszyscy jego pracownicy, ponieważ wodę oszczędzano i używano jej tylko do gotowania i picia.

- Znaleźliście już miejsce wycieku? - zapytał, wchodząc do baraku.

- Nie i jak tak dalej pójdzie, będziesz musiał podwoić płace, bo inaczej nie będziesz miał chętnych do pracy - odparł Ian Douglass.

- Jeśli zajdzie taka konieczność, podniesiemy stawki.

- Nie rozumiem, skąd ten pośpiech. Przecież i tak prace idą szybciej, niż planowaliśmy.

Parker nigdy by się do tego nie przyznał głośno, ale spieszył się z ukończeniem odwiertu, ponieważ obawiał się, iż Jay zupełnie nie daje sobie rady w Houston. Chciał jak najszybciej wrócić do firmy i przejąć ster, póki jeszcze nie było za późno. Oczywiście udawał, że ta kwestia ani trochę go nie obchodzi. Od dnia, w którym przybył do El Bahar, nie przeczytał ani jednego raportu, tylko pracował, pracował i jesz-

cze raz pracował, płacąc hojnie robotnikom, którzy potrafili utrzymać narzucone przezeń tempo. Nawet służbową korespondencję przeglądał za niego Ian, który zobowiązany był do przekazywania tylko katastrofalnych wiadomości, na przykład... że ogłoszono upadek Laird Drilling.

Gdy przychodziła poczta, Parker za każdym razem przygotowany był na otrzymanie listu, zawiadamiającego o słu-

bie Jaya i Abby. Tymczasem mijały miesiące, a list taki nie nadchodził, toteż zaczął w końcu przeglądać plotkarskie kolumny kilku gazet, wychodzących w Houston.

Jeśli chodzi o Abby, to od niej też nie otrzymał żadnej wiadomości. Wiedział tylko od swoich prawników, że podpisała stosowne dokumenty rozwodowe, ale odmówiła przyjęcia odszkodowania, jakie jej zaoferowali.

Starał się nie myśleć o tych kilku dniach, spędzonych z nią na Colombe, ani też o rozpaczce, jaka malowała się na jej twarzy, gdy odchodził. Nie potrafił znaleźć jakiegokolwiek usprawiedliwienia dla swych czynów, nie miał pojęcia, co nim kierowało, kiedy zaproponował jej małżeństwo.

Po drodze do swego baraku wstąpił do budynku, który służył za biuro, by sprawdzić, czy przyszły jakieś listy. Znalazł jedynie kilka spóźnionych weekendowych wydań gazet, więc włożył je pod pachę i powędrował do siebie. Wykapawszy się szybko, położył się na łóżku i zaczął przeglądać czasopisma. Weszło mu już w krew, że szedł spać dopiero wtedy, gdy był śmiertelnie zmęczony, bo wówczas nic mu

się nie śniło. Nauczyło go tego doświadczenie kilku pierwszych nocy w El Bahar, kiedy to męczyły go senne koszmary z Abby i Jayem w rolach głównych.

W pierwszej gazecie, którą wziął do ręki, zamieszczone było zdjęcie jego brata, siedzącego przy stoliku z jakąś kobietą. Zdecydowanie nie była to Abby. „Stara miłość nie rdzewieje” brzmiał tytuł artykułu, oznajmiającego, iż Jaya widziano ostatnio w towarzystwie dawnej przyjaciółki, Lisy MacKenzie.

A więc tak długo przetrwała jego wielka miłość do Abby?! Parker czuł rozsadzającą go wściekłość. Drżącymi rękoma

sięgnął po kolejną gazetę, w której znalazł jeszcze jedną fotografię swego brata oraz Lisy.

Jak on śmiał potraktować Abby w ten sposób? I to po owej pamiętnej scenie na plaży, kiedy to Parker naprawdę uwierzył w prawdziwość jego uczuć. Nie miał już najmniejszych wątpliwości, że w podobnym stylu Jay doprowadził firmę do bankructwa.

- Ian! - wykrzyknął, biegnąc do biura i nie zważając na zdumione spojrzenia załogi. - Ian!

- Co się stało? - zaniepokoił się Douglass.

- Kiedy mniej więcej będziemy mogli pompować ropę?

- zapytał, trzasnąwszy drzwiami z taką siłą, że aż cały barak się zatrzęsł.

- Jeśli utrzymamy dotychczasowe tempo, gdzieś za trzy miesiące.

- Za długo. Chcę, żeby to było za miesiąc.

- Oszalałeś? - zdumiał się Ian. - Nie damy rady w dwa

miesiące, nawet jeśli będziemy pracować non stop!

Trzy i pół tygodnia później Parker leciał do Houston.

Znalazłszy się na firmowym parkingu, odkrył, że czyjeś auto zajmuje jego stałe miejsce, co zirytowało go niepomier-
nie.

- Gdzie jest mój piekielny braciszek? - warknął, stając przed biurkiem urzędującej na parterze recepcjonistki.

- Panie Laird!

- Słucham, gdzie on jest! A może nie powinienem się łudzić, że codziennie przychodzi do pracy? - Gniewnie wymachiwał trzymanymi w rękę gazetami, które zamieściły zdjęcia Jaya.

- Ależ skąd. Jest w pańskim dawnym biurze.

Wyrażenie „pańskie dawne biuro” rozwścieczyło go jeszcze bardziej, ale nie chcąc wdawać się w niepotrzebne dyskusje, ruszył do windy.

- Niech się pani nie waży go uprzedzić! - wykrzyknął, widząc, że recepcjonistka sięga po słuchawkę.

- Parker! - zawołali Valerie i Jay, gdy stanął w drzwiach biura, które wyglądało mniej więcej tak samo, jak przed jego wyjazdem.

- Czemu nie zawiadomiłeś mnie, że przyjeżdżasz? - zapytał Jay, podnosząc się.

- Chciałem ci zrobić niespodziankę - warknął.

- Może podać panu kawę? - zaproponowała Valerie, biorąc od niego kurtkę.

- Nie, dziękuję - mruknął, na co asystentka odwróciła się

i wyszła, dyskretnie zamykając za sobą drzwi.

- Usiądź - zaproponował jego brat, wskazując krzesło, stojące po drugiej stronie biurka, sam zaś zajął fotel dyrektorski, co nie uszło uwagi Parkera. - Gratulacje, słyszałem właśnie, że wytoczyliście pierwszą baryłkę ropy. Nie trwało to tak długo, jak się spodziewaliśmy.

Bracia mierzyli się przez jakiś czas wzrokiem, po czym Parker gniewnym gestem rzucił na biurko gazety.

- Dlaczego, do diabła, jeszcze się nie ożeniłeś? - wycedził.

- Lisa i ja dopiero co się zaręczaliśmy - odparł Jay, unosząc brwi. - Jeszcze nie wyznaczaliśmy daty ślubu.

- Lisa?! A co z Abby?

- O co ci chodzi?

Im bardziej Jay wydawał się być opanowany, tym więcej Parker się irytował.

- O ile pamiętam, to ona była miłością twojego życia - zauważył. - Jeżeli wyrządziłeś jej krzywdę... - Zerwał się z miejsca.

- Tak jak ty? - zapytał z niezmaconym spokojem Jay, którego chłodne spojrzenie przypomniało Parkerowi ojca, gdy był wściekły.

- Gdzie ona jest?

- Abby już tutaj nie pracuje - wyjaśnił Jay, podnosząc słuchawkę. - Nancy, poproś do mnie asystentkę Diamentowego Dona, dobrze?

- A od kiedy to Don Danvers tu pracuje?

- Od chwili, gdy zdecydował się zrezygnować z emerytury i zająć się finansami firmy.

- Dobry wybór - pochwalił Parker, który zaczął podejrzewać, że jednak kondycja Laird Drilling nie jest tak fatalna,

jak sobie wyobrażał.

- Jay, Nancy mówiła, że chcesz się ze mną zobaczyć
- dobiegł go znajomy głos.

- Przepraszam cię, Abby, ale nie wiedziałem, jak ci to powiedzieć. - Jay podniósł się.

Abby posłała mu chłodne spojrzenie.

- Myślę, że proste „Abby, Parker jest w moim gabinecie” w zupełności by wystarczyło.

- Pewnie masz rację - przyznał. - A teraz, moi drodzy, choć podejrzewam, że będzie to piekielnie interesująca rozmowa, zostawię was samych.

Parker ledwie zauważył zniknięcie brata, tak bowiem był przejęty widokiem Abby, która stała zaledwie o kilka kroków od niego, z rękoma złożonymi opiekuńczym gestem na brzuchu wielkości piłki do koszykówki.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Jesteś w ciąży! - wykrztusił Parker.

- Nie, wypiliśmy ostatnio za dużo piwa - zadrwiła Abby,

siadając na sofie.

- Nikt mi o tym nie powiedział.

- A czy pytałeś?

- Nie, bo nie przyszło mi to nawet do głowy.

- Jasne. Zostawiłeś mnie wtedy na plaży, a kłopotliwą kwestię małżeństwa oddałeś w ręce prawników. O co tu jeszcze pytać?

- Abby - szepnął błagalnie, przypatrując się kobiecie, która w niczym nie przypominała owej pogodnej dziewczyny, którą zabrał do Colombo.

- Powinnaś była mnie poinformować. Ktoś powinien był mi powiedzieć - dodał, myśląc o Jayu.

- Kiedy? Wyjechałeś do El Bahar, nie pożegnawszy się z nikim, a gdy próbowano się z tobą skontaktować, zawsze byłeś w terenie.

Rzeczywiście, Parker wyraźnie zapowiedział w biurze, iż nie będzie przyjmował telefonów od rodziny.

- Gdybyś tylko poprosiła Iana, na pewno by mi przekazał, że dzwoniłaś - oponował.

- Nie sądziłam, że „ta” wiadomość cię zainteresuje - stwierdziła chłodno. - Poza tym, dostatecznie mnie już upokorzyłeś...

- Abby, posłuchaj... Nie mam słów, by wyrazić, jak bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało.

- Och, spróbuj je znaleźć, zasłużyłam chyba na to, żebyś się trochę przede mną pokajał.

- Przepraszam cię - wyszeptał, zrozumiawszy, że Abby, którą poślubił na Colombe, zniknęła na zawsze. – Wierz mi, oddałbym wszystko, aby móc cofnąć czas, niestety, to niemożliwe. Najlepiej więc będzie, gdy pobierzemy się po raz

drugi, i to jak najszybciej. Na pewno uda mi się przekonać sędziego, by wydał pozwolenie jeszcze dzisiaj...

- Nie wyjdę za ciebie - przerwała mu ostro. - Już raz to zrobiłam i zupełnie mi się nie podobało. - Wstała powoli i ruszyła ku drzwiom.

- Zdaję sobie sprawę, że masz prawo być na mnie wściekła - przyznał. - Ale pomyśl o dziecku.

- Właśnie o nim myślę.

- Abby, musisz za mnie wyjść! - zawołał rozpaczliwie.

- Dlaczego? - zapytała, wpatrując się weń intensywnie.

- Ze względu na dziecko.

Rzuciwszy mu pogardliwe spojrzenie, zniknęła za drzwiami. Parker chciał za nią biec, wytłumaczyć, ale Jay zastąpił mu drogę.

- Nie chce mnie! - jęknął Parker.

- I ciebie to jeszcze dziwi? - Jay uniósł brwi.

- Ale ona nosi moje dziecko!

- Masz pewność, że jest twoje?

Parkerowi zrobiło się naraz ciemno przed oczyma. Chwilę

później poczuł, że bardzo bołą go knykcie, a gdy spojrzął przed siebie, ujrzał swego brata leżącego na podłodze.

- Och, Jay, przepraszam... - wykrztusił, przerażony, że do tego stopnia utracił kontrolę nad sobą.

- Nie ma za co - uśmiechnął się tamten, podnosząc się na nogi. - Teraz, kiedy wiem, że ją kochasz, mogę ci pomóc ją odzyskać.

- Kocham ją? - powtórzył z niedowierzaniem Parker.
- Jak najbardziej - roześmiał się Jay, siadając na sofie, którą jeszcze przed kilkoma minutami zajmowała Abby. - Szokujące odkrycie, prawda?
- Kocham ją... Posłuchaj, Jay, nie miałem do tej pory o tym pojęcia. Musisz mi uwierzyć.
- Wierzę. - Pokiwał głową. - Byłeś szalenie przekonywający.

- Powiedz swojemu bratu, żeby przestał przysyłać mi kwiaty - poprosiła Abby, wrzucając bukiet róż do stojącego w gabinecie Jaya kosza.

- Daj mu szansę.

- Nie, miał już jedną i zmarnował ją - stwierdziła na odchodnym.

- Widzisz? Nic nie skutkuje - westchnął Parker, wychodząc z łazienki, gdzie ukrył się, by móc podsłuchać ich rozmowę. - Odsyła też wszystkie prezenty.

- Byłoby wspaniale, gdybyś mógł zabrać ją na Colombo, ale termin porodu jest zbyt bliski.

- Nawet nie chce ze mną rozmawiać. Kilka dni temu spotkałem ją w windzie i powiedziała, żebym dał jej spokój.

- Nie wiem, co ci poradzić - przyznał Jay, huśtając się na

krześle. - Pozostaje ci tylko powtarzać, jak bardzo ją kochasz, i czekać, aż wreszcie zmięknie.

Parker zamrugał gwałtownie oczyma. Przednie nogi krzesła, na którym siedział Jay, z hukiem uderzyły w podłogę.

- Chyba wyznałeś jej, że ją kochasz? - zapytał Jay po-

woli.

- Nie jestem pewien, czy ująłem to dokładnie w ten sposób, ale przecież ona wie, co do niej czuję - tłumaczył się niezręcznie Parker.

- A niby skąd? - jęknął Jay, unosząc w górę ręce. - Człowieku, przecież to zasada numer jeden! Musisz powiedzieć, że ją kochasz, bo inaczej nic nie wskórasz. - Podniósł słuchawkę i wystukał numer telefonu. - Don, jest Abby? - Otworzył szeroko oczy. - W takim razie, gdzie jest?

Parker zamarł. Na pewno stało się coś okropnego. Wyrwał bratu z ręki słuchawkę.

- Gdzie jest Abby? - zapytał nie znoszącym sprzeciwu głosem.

- Kazała mi nic ci nie mówić - odparł Diamentowy Don.

- Jak mi nie powiesz, to poinformuję wszystkie gazety w kraju, że twój diament w kształcie Teksasu jest fałszywy!

- Fałszywy?! - powtórzył Jay.

- Och, Parker, nie bądź taki w gorącej wodzie kąpany. Abby jest u rodziców.

- Dzięki, Don - westchnął z ulgą, po czym odłożył słuchawkę. - Wiesz może, gdzie leży miasteczko Haste?

Drzwi niewielkiego, sympatycznego domku otworzył mężczyzna, którego niebieskie oczy bezsprzecznie świadczyły o pokrewieństwie z Abby.

- Nazywam się Parker Laird i jestem ojcem pańskiego wnuka - przedstawił się Parker, próbując opanować drżenie rąk.

- Z takimi referencjami nie mam wyjścia, jak tylko wpuścić pana do środka - oznajmił po chwili milczenia mężczyzna. - Nazywam się Bob Monroe.

Zastosowawszy najbardziej skomplikowane techniki negocjacji, Parker zdołał jakimś cudem przekonać ojca Abby, żeby podał mu adres szpitala, w którym przygotowywała się ona do porodu. Po drodze wstąpił do urzędu, by otrzymać pozwolenie na ślub.

Znalazł Abby i jej matkę w sali przedporodowej, ozdobionej wesołą tapetą w tańczące kaczuszki.

- Diamentowy Don to zdrajca - jęknęła Abby na jego widok.

- Nieprawda - zaprotestował Parker. - To mądry i dobry człowiek.

- W przeciwieństwie do ciebie.

- Abby... - zaczął, ale jej matka odsunęła go delikatnie.

- Ma teraz skurcz, więc powinna skupić się na oddychaniu - wyjaśniła. - Abby, weź głęboki, oczyszczający oddech!

Abby posłusznie wciągnęła powietrze, krzywiąc się, gdy skurcz się nasilił.

- Pan pewnie nazywa się Parker - powiedziała jej matka, kiedy skurcz ustąpił. - Zostawię was na chwilę samych.

- Mamo! - zawołała rozpaczliwie Abby, ale pani Monroe tylko rzuciła jej wymowne spojrzenie i wyszła. - Świetnie, przepędziłeś moją trenerkę!

- Musimy porozmawiać.

- Dobrze, mów, masz mniej więcej dwie minuty do następnego skurczu.

- Proszę, Abby, wyjdź za mnie. Kocham cię - dodał, pamiętając o słowach Jaya.

Zamiast rozplakać się ze szczęścia, posłała mu gniewne spojrzenie.

- Nieprawda. Mówisz tak tylko dlatego, żebym się zgodziła. .. - Przerwała, po czym wzięła głęboki oddech. Na jej czole perlił się pot.

Ujął ją za rękę. Czuł się całkowicie bezsilny, co nie zdarzyło mu się od wielu, wielu lat.

- Abby, proszę, mam pozwolenie na ślub. Przyproceedziłem sędziego. Wyjdź za mnie, zanim urodzi się dziecko. Naprawdę cię kocham. Kochałem cię już na Colombe, ale nie zdawałem sobie z tego sprawy.

- Nie - wykrztusiła. - Zawołaj moją mamę.

- Jestem tu, kochanie - powiedziała pani Monroe, stając obok, po czym spojrzała na Parkera przeprasząc. - Czemu nie chcesz go słuchać?

- Bo chce się ze mną ożenić tylko ze względu na dziecko

- odparła, walcząc z nadciągającą falą bólu.

- Ożeniłbym się z tobą, nawet gdyby nie było dziecka

- wtrącił. - Ze względu na nie chcę wziąć ślub właśnie teraz.

Nie był nawet pewien, czy to usłyszała, ponieważ była w trakcie wykonywania oddechów.

- Ożeniłbyś się ze mną, gdyby nie było dziecka? - powtórzyła.

- Oczywiście. Przecież cię kocham.

- Kocha mnie - wyszeptala, uśmiechając się promiennie.

- Tak, kochanie. - Pani Monroe odgarnęła jej włosy z czoła. - Na pewno cię kocha.

- I ja go kocham. - Zwróciła spojrzenie na Parkera. -I ja cię kocham.

Ścisnęła mocno jego dłoń, gdy rozpoczął się kolejny skurcz.

- Zawołam sędziego - powiedział Parker, gdy poczuła się lepiej.

W poczekalni, oprócz sędziego siedział również ojciec Abby, więc Parker poprosił ich obydwu do środka.

- Jest i doktor - poinformowała pani Monroe, gdy do sali wszedł ubrany na zielono mężczyzna,

Parker ponownie ujął dłoń Abby.

- Moi drodzy, zebraliśmy się tutaj...

- Jak często następują skurcze?

- ...by połączyć Abigail i Parkera...

- Czy może mi pani dać znać, kiedy zaczniesz następny?

- ...węzłem małżeńskim.

- Rozwarcie na dziewięć centymetrów. Zawiadomcie salę porodową, że już jedziemy.

Pielęgniarka uniosła wezglowie łóżka Abby. Parker gestem dał do zrozumienia sędziemu, żeby się pospieszył.

- Czy ty, Parkerze...

- Tak.

- Czy ty, Abigail...

- Taaak!

- Nie przyj, Abby. Jeśli zamierza pan uczestniczyć w porodzie, proszę włożyć fartuch.

- W takim razie ogłaszam was mężem i żoną.

Parker pocałował Abby w czoło i pobiegł, by włożyć fartuch. Dwadzieścia pięć minut później małeńka Elizabeth

Jayne Laird głośnym krzykiem powitała swych rodziców.

EPILOG

- Czyż ona nie jest śliczna? - zapytała Abby, tuląc w ramionach swą córeczkę.

- Nie tak piękna, jak jej mama - stwierdził Parker. - Jeszcze - dodał szybko, gdy uniosła brwi.

- Naprawdę ożeniłbyś się ze mną, gdyby jej nie było?

- Oczywiście - zapewnił, przysuwając sobie krzesło do łóżka. - Ale cieszę się, że jest. Poczęła się na Colombe, zupełnie jak moja miłość do ciebie. - Spojrzał w pełne łez oczy Abby. - Przewróciłem ci życie do góry nogami, prawda? - mruknął.

- Jak możesz tak w ogóle mówić? - obruszyła się.

- A twoje studia?

- Przecież nadal będę mogła chodzić na zajęcia. Ty będziesz wtedy zajmował się dzieckiem.

- Będę miał na to czas? - Uśmiechnął się. - Oczywiście! Jay całkiem niezłe sobie poradził pod moją nieobecność.

- Niezłe? Raczej doskonale!

- Na tyle dobrze, że mogę przekazać mu część obowiązków związanych z zarządzaniem firmą - przyznał.

- Powiedziałeś mu to?

- Jeśli chodzi o ścisłość, on powiedział to mnie. Miał rację. Może nie zgadzamy się co do metod, ale mamy prze-

cież wspólny cel. Aha, byłbym zapomniał. Moja żona uwielbia podróże, czyż nie?

- Obawiam się, że twoja żona będzie w najbliższym czasie trochę zajęta - stwierdziła Abby, spoglądając czule na trzymane w ramionach zawiniątko.

- Moja żona pojedzie w podróż poślubną - zdecydował. -Do... Włoch. Zabierzemy Elizabeth ze sobą.

Spojrzał na nią, wyraźnie spodziewając się, że powie mu, jaki jest wspomniały.

- A czy zapytałeś mnie, czy chcę dokądkolwiek jechać?
- odparowała. - Czy zapytałeś, czy mam ochotę zabierać niemowlę w tak daleką podróż?

Parker wyglądał na szczerze zaskoczonego.

- Nie, ale sądziłem, że chciałabyś mieć miesiąc miodowy.

- Chcę - zgodziła się. - Chcę pojechać na Colombe.

Na jego twarzy zagościł tajemniczy wyraz.

- Co się stało? - zaniepokoiła się. - Czyżbyś pokłócił się z panem Ramsdellem? Nie możemy już zatrzymać się na jego wyspie?

- Możemy tam jechać, gdy tylko będziemy mieli na to ochotę - oznajmił Parker z pełnym samozadowolenia uśmiechem. - Kupiłem ten dom. Dla ciebie.

- I wyspę też?

- Też. - Skinął głową.

- Jeszcze nikt nigdy nie podarował mi wyspy - wyszeptała wzruszona.

- A mnie nikt do tej pory nie dał dziecka! - odparł Parker, z uśmiechem gładząc maleństwo po policzku.

RS